Nr 51 (1613). Warszawa, 23 grudnia 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

NADESŁANE.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Przeistoczenie wsi.

„Lud nasz jest głównym materjałem, z którego może być stworzony nie istniejący dotąd w znaczeniu nowożytnym naród polski, i który może zbudować jego pożądaną przyszłość.

Naród polski może zmartwychwstać i oprzeć się zwycięsko dalszym przeciw niemu zamachom tylko za pomocą przeistoczenia się na ludowy, czyli za pomocą pogłębienia i zdemokratyzowania swej kultury".

A. Świętochowski.

Jak w zdrowym, kwitnącym organizmie wszystkie narządy działają zgodnie, tak i w zdrowym społeczeństwie wszystkie warstwy, stosownie do posiadanych środków i zdolności twórczych, w większej lub mniejszej mierze, składają się na zespół żywotnej kultury.

W społeczeństwie polskim nigdy nie było tej szczęśliwej koordynacji, ani tej nieodzownej do życia pełni środków twórczych; niema jej i teraz, jakkolwiek odpowiednia już budzi się tendencja, oparta na szybkim ostatnimi czasy rozwoju włościaństwa.

„Dopóki mamy w Królestwie Polskim — pisał niedawno Świętochowski — około 7 miljonów surowej ludności, ciemnej, bezradnej, nie umiejącej wziąć udziału w życiu społecznym, niezdolnej nawet wyzyskać należycie swej pracy, dopóty nie mamy nowoczesnego narodu, któryby rozwinął wielką energję czynną i obronną".

Otóż przeistoczenie wsi, mobilizacja kulturalna siedmiomiljonowych mas ludu, jest zdarzeniem epokowym, na którego pierwszą fazę dziś właśnie patrzymy.

Lecz nie wszyscy patrzymy jednakowo. Są żywioły, które to zjawisko przejmuje lękiem i gniewem, bo się bez nich odbywa, albo przeciwko nim: z tej więc strony spada na lud budzący się do życia grad złorzeczeń, obelg i potwarzy. W tej wysoce niechlubnej kampanji kruchta sprzymierza się z dworem, ambona staje się mównicą polityczną, a konfesjonał miejscem propagandy. Nieszczęsny atawizm szlachecki, ten sam, co zwlekał ze zniesieniem poddaństwa aż mu je z zewnątrz narzucono — teraz ima się obręcz niewoli umysłowej ludu, ustanawia jakowyś nad nim patronat i żąda lenniczej od siebie zawisłości. Konserwatyzm, nacjonalizm i kler podały sobie ręce, by ruch ludowy nagiąć do swojej moralnej cenzury i wyłączyć zeń to wszystko, co wymienionym kierunkom czy zespołom wydać się może niebezpieczne i nieprawomyślne. A że z pod tej cenzury wyłamała się już dosyć spora i wpływowa rzesza włościan, skupionych dokoła *Zarania*, przeto rozpętał

się przeciw nim gniew tych możnych koterji, gniew, który ostatnio w najłagodniejszej, najpowściągliwszej formie ustami p. Ambroziewicza nazwał zaraniarzy „szkodnikami w chłopskiej chacie"[1])

Zanim cechy tego „szkodnictwa" zbadamy i określimy jego właściwe miejsce, uprzednio warto się zastanowić nad źródłami i charakterem ruchu ludowego w Królestwie.

Skądinąd jest p. Ambroziewicz gorącym jego zwolennikiem. Zaznacza też na wstępie, że ruch ludowy w naszym kraju powstał w imię interesów narodowych, że chłop dzięki niemu zaczął się wyzwalać z powijaków, zaczął „uobywatelniać się w najszerszym tego słowa znaczeniu". Jakoż wiadomo, że bezpośreduio po roku 1864-ym, w czasie najstraszniejszej pomiędzy chatą, a dworem nienawiści, kiedy polskość oczom świeżo wyzwolonego chłopa jawiła się jako powrót do batoga i pańszczyzny — nie mogło być mowy o ruchu ludowym wśród włościan, jakkolwiek marzyli o nim inteligenci. Podobnie działo się w Galicji, gdzie przed kampanją ks. Stojałowskiego, Stapińskiego i Wysloucha był chłop „cesarskim," by dopiero później zostać polskim.

Tedy ruch ludowy nie jest objawem antagonizmów społecznych, lecz znakiem zbudzonej samowiedzy. Jego pozytywne cechy niezmiernie górują nad negacją, co np. o ruchu robotniczym niezawsze można powiedzieć. Tę wielką nad robotnikiem doraźną przewagę społeczną daje chłopu niezależność i własność. Dzięki temu są wszędzie na zachodzie stronnictwa chłopskie punktem oparcia dla demokracji radykalnej, o ile nie zdołał ich na swój sposób urobić — kler.

Powoli więc i u nas budzi się w ludzie świadomość swej ważnej roli społecznej, kształci się zmysł samozaradności, rośnie poczucie godności i ambicja warstwy, która, mówiąc słowami Siéy ès'a, jest niczym w narodzie, a mogłaby być wszystkim, — a więc wytwarza się to właśnie, co zwolennicy metod patrjarchalnych mianują „zaraniarstwem".

P. Ambroziewicz, jak się rzekło, jest tego kierunku wrogiem względnym i powściągliwym, nie ciska nań piorunów klątwy, ani zatrutych strzał obmowy, lecz oskarża o „szkodnictwo narodowe", co przecież nie należy do rzędu lekkich zarzutów.

Sam p. Ambroziewicz patrzy na przeistoczenie wsi jak na „moment w życiu naszym nietylko wysoce ekonomiczny, ale wybitnie narodowy".

Tym nie mniej uważa „zaraniarstwo" za kierunek zupełnie sztuczny, teoretycznie stworzony pod importowanym z Galicji hasłem „sami sobie". Rozrost zaś jego kładzie w zupełności na karb niewłaściwej z nim walki: „gdyby — powiada — księża nasi, ziemianie i inni bezpośrednio zainteresowani traktowali spokojniej tę grupę, gdyby przyznawali jej rację, gdzie istotnie rację miała (a zdarzało się to niejednokrotnie) gdyby w polemice o zasady programowe zło nazywano złem i dążono do sanacji stosunków, to jestem przekonany, że grupa ta uległaby swemu przeznaczeniu: alboby zmarła, albo nie wyszłaby poza granice teoretycznych rozważań. Ale nie utrzymano miary: podjęto wojnę nieprowadzącą do celu".

Więc też „Zaraniarze, pobudzani do walki nieustannymi atakami, wyklinani i przeklinani, ośmieszani i wyszydzani, powstali w imię haseł ludowców galicyjskich. Hasło to w czyn wcielają. A że niema sfery życia politycznego, gdzieby można go stosować, wnoszą je w sferę życia gospodarczego, wszędzie głosząc hasło wyłączności chłopskiej!"

A ponieważ rodzi się stąd „jedynie ferment i rozdwojenie wśród gromad", doradza więc p. Ambrozie-

[1]) Por. „Kurjer Warszawski" nr. 348.

ECHA PRAWDY.

Dyscyplina dewocyjna w szpitalach.

W dalszym ciągu podajemy kilka faktów, ujawniających nienormalne stosunki życia szpitalnego. Organy zrzeszeń lekarskich zarówno jak i pisma społeczne powinny zapoczątkować jaknajszybszą akcję o reformę ustroju szpitalnego, lub też, conajmniej, o ograniczenie władzy sióstr zakonnic i sprowadzenie ich na stanowiska bardziej odpowiednie.

A oto owe fakty. Siostry zakonnice nie poprzestają na jednorazowej propozycji spowiedzi.

Znamy chorą w szpitalu Dz. Jezus, której proponowano spowiedź dwukrotnie; nakoniec, pomimo stanowczej odmowy, w dzień operacji o godz. 5-ej rano zakonnica zażądała, aby chora udała się do spowiedzi; miała się ta ceremonja odbywać wprawdzie w tym samym pawilonie, ale o piętro niżej. Kiedy teroryzowana kobieta wymawiała się brakiem odzieży (odzież własną szpital zabiera na przechowanie) — gorliwa pielęgniarka zaznaczyła *ironicznie*:

— Jakże się Pani oszczędza... i... przyniosła chorej pled, *zmuszając* ją wręcz do spowiedzi.

Wskutek owego spaceru, jak również i silnego, bądź co bądź, wrażenia, chora owa już w godzinę potym miała znacznie podniesioną ciepłotę, tak że *operację wstrzymano.*

Ale pp. doktorzy i asystenci nie wiedzieli, czemu tego dnia zarówno ta, jako też i inne chore miały większą gorączkę...

Otóż niechaj się dowiedzą okrężną drogą, z pism, że siostry zakonnice, opiewane i idealizowane pielęgniarki szpitalne, wloką nieraz ciężko chorych nietylko do spowiedzi, ale i do komunji: komunję ową udzielają księża w kaplicy, oddalonej mniej—więcej, o pół wiorsty od każdego pawilonu.

Trudne do zrozumienia jest stanowisko lekarzy naszych wobec tej zwartej masy szarych gęsi szpitalnych. Wprawdzie szpital od czasu do czasu rozbrzmiewa nerwowym „wymyślaniem", udzielanym „pobożnej" siostrze na skutek ujawnienia takiego przymusu; jednak usiłowań *zbiorowych, więc skutecznych* nie zapoczątkowano dotychczas. A przecie te anormalne stosunki trwają już dziesiątki lat. Nie pora tutaj zwracać oczy w przyszłość, mówiąc:

— Skoro będzie samorząd...

Należy natychmiast rozpocząć akcję przeciwko tym, którzy śmią w szpitalnych salach *ironicznie* mówić:

— Jakże się Pani oszczędza...

Tutaj wypada z rąk sióstr jedyny atut: niezrównane pielęgniarstwo. Boć, jeśli wszystkie są jednakie, a mowa była o wypadku przeciętnym, to odezwanie powyższe wystawia świadectwo analfabetyzmu całkowitego w dziedzinie hygieny, pielęgniarstwa i szpitalnictwa...

wicz następujący sposób: „miast uważać „zaraniarzy” za Maćków żydowskich, jak chcą nasi obskuranci, należy patrzeć na nich jako na sztucznie hodowanych szkodników w chłopskiej stodole i tej hodowli nie wspomagać”.

Nie wskazawszy bynajmniej, na czym właściwie owo „szkodnictwo” polega — boć ferment i rozdwojenie, jak widać, wnoszą na wieś ci właśnie, co przeciw demokracji chłopskiej mobilizują klątwy, oszczerstwa i szyderstwa — namawia p. Ambroziewicz lud polski, żeby szedł „pokłonić się w wielkiej świątyni narodowej”, a „kapliczki zaraniarskie” omijał, zaś stróżów i zakrystjanów owej wielkiej świątyni poucza w konkluzji, że „należałoby bronić interesów ludu w życiu codziennym, wszędzie — gdzie e g o i z m k l a s o w y, o b s k u r a n t y z m, c i a s n o t a p o j ę ć o d w i e c z n y c h normalny rozwój życia chłopskiego w s t r z y m u j ą”.

Ostatni ustęp zdejmuje zarzut szkodnictwa z bark „zaraniarzy” i przenosi go na stronę przeciwną, wbrew oczywistym intencjom autora.

Tam gdzie z jednej strony stają pionierzy młodego życia „pobudzani do walki nieustannymi atakami, wyklinani i przeklinani, ośmieszani i wyszydzani” — a z drugiej strony działa „egoizm klasowy, obskurantyzm, ciasnota pojęć odwiecznych” — sądzimy, że żaden prawy Polak i szczery demokrata nie będzie się wahał, ku czyjej stronie miano „szkodnictwa narodowego” stosować...

Jakże trudno przychodzi pewnym ludziom i pewnym grupom przemóc zakorzenioną głęboko nieufność do ludu, rozwiać lęk, jakim ich napawa hasło „sami sobie!”

A wszak ono zbudziło lud w Galicji, a na zniemczonym Śląsku wyczarowało jakby cudem nową placówkę polskości; wreszcie w Ameryce lud polski, oddany przez księży na pastwę niemieckim i „ajryskim” biskupom, zrywa te hańbiące pęta, tworzy własną spójnię narodową i dźwiga własny narodowy Kościół..

A u nas hasło „sami sobie” mobilizuje tę niezmierną rezerwę sił żywotnych, których czynny udział w walce o dalszy rozwój narodu podnosi jej szanse dziesięćkroć razy. W kraju, jak nasz, gdzie demokratyzm jest jeno szyldem, wywieszanym na froncie, gdy w oficynach życia gospodaruje dalej nałóg zastarzałego wstecznictwa — pod hasłem „sami sobie” pójść powinni wszyscy rozumni Polacy, którzy pojmują, że każda świeża formacja społeczna wkracza na widownię z własnym zasobem sił i środków.

Mieć za złe ludowi, że pragnie z własnych czerpać już zasobów, własnym się zmysłem powodować, własne wprowadzać wartości—może i w szersze „sfery życia politycznego” wbrew opinji p. Ambroziewicza — a cóż to za potworne zboczenie!

Wskażcie nam jedną w narodzie polskim warstwę, coby miała prawo stanąć tym dążeniom wpoprzek w imię zalet osobistych, własnych zasług i własnych kryterjów, wypróbowanych i narzuconych, jako wyższe, lepsze, jedynie właściwe... Któż to może uczynić?

Szlachta, na której ciąży niezmazany grzech zatraty Państwa polskiego? mieszczaństwo, bezładne i bezpłodne? inteligencja, miotana w rozliczne strony? proletarjat, uwikłany w bandytyzm, sekciarstwo i prowokację?

Jakimże prawem zniewala się jedyny w narodzie świeży, zdrowy, nie zszargany żywioł do słuchania komendy wodzów, których szyki są w ustawicznym odwrocie, i do zasięgania rad mentorów, wsławionych dziesięciokrotnym fiaskiem?!

Najwięcej budzi uraz i napaści emancypacja „zaraniarzy” z pod wszechwładzy kleru. Jest to, naszym zdaniem, jedna z największych zalet tego ruchu. Nie można go pomawiać o bezreligijność lub niemo-

---

Jeśli doktorzy spitalni nie wnikają dotyla w życie chorych, aby raziło ich zmuszanie do spowiedzi, nakładanie medalików, cenzura książek dla rekonwalescentów, jako bezprawie i ucisk duchowy, to niechże przynajmniej widzą psychologję chorego człowieka, któremu stale przed oczy stawia się możliwość śmierci, niechże spojrzą w tę zawiłą scieżkę przeżyć chorego na łożu szpitalnym, które napewno silnie komplikują chorobę.

Może wtedy zauważą nasi lekarze szpitalni całą ohydę i okrucieństwo w postępowaniu sióstr zakonnic z pacjentami w szpitalach, nietylko warszawskich...

Pytania na czasie.

W społeczeństwach kulturalnych własnością publiczną jest to, co należy do wszystkich, a zatym przez wszystkich jest strzeżone i szanowane. W niekulturalnych — własność publiczna jest tym, co nie należy do nikogo, a więc nikt o nią nie dba.

W społeczeństwach dojrzałych politycznie sprawą publiczną jest ta, która wszystkich obchodzi, a w niedojrzałych ta, w której nikt osobiście nie jest zainteresowany.

Nie gdzieindziej lecz w tym właśnie tkwią znamiona dojrzałości, zasadnicze rysy, świadczące, że dany naród jest społecznym organizmem a nie zbiorowiskiem jednostek.

Czym jest nasze społeczeństwo?

Dzień po dniu biorąc gazetę do ręki przeciętny filister przekonać się może, że na nas — jako na społeczeństwo — sypie się cios za ciosem, że nam — jako narodowi—dzieje się tak źle, jak dawno już nie bywało.

Jeszcze nie wyodrębniono Chełmszczyzny, a już zaczynają poruszać w prasie myśl wyodrębnienia guberni Suwalskiej. Nad każdą placówką myśli i pracy wisi jakiś miecz Demoklesa. Kilkanaście tysięcy rodzin nagle ujrzało swój byt zagrożony. Obiecywany samorząd zaczyna się przeobrażać w jakąś dziwną karykaturę samorządu pod wpływem przeróbek don wprowadzanych. I oto wśród tego wszystkiego jesteśmy bezsilni; co dzień przekonywamy się, że można sobie wobec nas pozwolić na wszystko.

Bezsilni — skutkiem warunków zewnętrznych, czy jednak pozostaniemy jeszcze na dobitek bezmyślni i bezduszni skutkiem własnego wewnętrznego upadku?

Czy te wszystkie sprawy obchodzą przeciętną publiczność żywo, gorąco, jako nasze wspólne, czy też nie zachce ona nimi zaprzątać sobie głowy, módz myśleć o rzeczach weselnych, szukać ulgi w wesołej zabawie, w hucznym, jak co roku — karnawale?

Czy nawet takie momenty upokorzeń i niedoli nie zbudzą wśród naszego ogółu myśli zbiorowej i zbiorowego uczucia?

ralność, bo właśnie brak etyki religijnej i straszną demoralizację wytyka on stale wśród księży, a oni nie śmią mu tego zarzutu postawić. Laicyzacja t. j. przewaga motywów doczesnych, świeckich, jest najwybitniejszą bodaj cechą naszych czasów. Z ich też duchem właściwym chce nas ruch ludowy uzgodnić.

Tymbardziej winniśmy go cenić, że nietylko gruntuje u nas istotną, realną demokrację, nietylko uruchomia olbrzymi zapas sił dotąd bezczynnych, lecz nadto kładzie podwaliny pod świecką i ludową kulturę polską, co w dzisiejszych warunkach bytu narodów jest już rękojmią walnego zwycięstwa.

Znasz-li ten kraj?

III.

(Dokończenie).

W oczach przeciętnego Poznańczyka Warszawa jest jakimś gniazdem przewrotowców i bezbożników, czymś, od czego poważny człowiek plecami się odwraca wpatrując się w Berlin i w blask jego kultury. Czym jest dla Poznańczyka kultura niemiecka, zrozumie ten, kto bohaterom pana Romockiego do stolicy Niemiec towarzyszyć zechce: Wintergarten, Amorsäle — oto przybytki, w których arystokrata czy mieszczuch z nad Warty kąpie się w słońcu zachodniej cywilizacji.

Panny Łużyckie w patryjarchalnym arystokratycznym a zarazem wysoce patryjotycznym domu („Hakata") kształciły się u Urszulanek w Wrocławiu a między sobą mówią stale po francusku, „nie dla mody", broni je naiwnie autor, lecz dla wprawy w akcencie, wiedzą bowiem, że w ich położeniu towarzyskiem posiada to wielkie znaczenie. — Jakie? o to autor nie pyta; cześć dla tytułu i majątku panien Łużyckich zamyka mu usta.

Na tym trywialnym, brudnym, wstrętnym tle wielkopolskiego podwórka każdy z autorów narysował jakąś postać potępioną i bojkotowaną przez świętoszkowską opinję, nie za bezbożność wprawdzie ani za socjalistyczne tendencje, co byłoby zgodniejsze z prawdą, lecz za rozwiązłe życie, które tam zresztą bynajmniej srogo piętnowane nie bywa.

Okazuje się i w jednym i drugim wypadku, że te wyrzutki poznańskiego społeczeństwa są więcej warte niż ono samo in pleno, jakkolwiek i one...

„Jeden tylko prokurator porządny człowiek, ale i ten świnia" — jak mówi Gogol. —

Jak się rzekło jednak, dla uzupełnienia obrazu trzeba brać pod uwagę i utwór i pryzmat, to jest autorów z ich ideałami. Każdy z nich pozostał rdzennym poznańczykiem choć p. Wierzbiński umie pisać po polsku, nie bez błędów („Ja już raz jestem taki" „Dwoje córek" itp.) wprawdzie lecz bądź co bądź po polsku.

Natomiast ma czysto poznańską pogardę dla demokracji i dla kobiet, raczej dla kobiecej duszy; ciało bowiem ceni bardzo wysoko. Boski porządek świata wymaga, aby kobieta była zupełnie głupia i aby najgłupszy nawet mężczyzna nie potrzebował przy niej zwątpić o swej wyższości.

Pan Romocki choć krytycznie patrzy na społeczeństwo Poznańskie jest Poznańczykiem w każdym calu.

Książka jego pisana jest gwarą, którąby naprzód powinien na czystą niemczyznę przerobić a potym poprosić, by ją kto poprawnie na język polski przetłomaczył.

W Poznańskiem zwyczaj patryjotyczny każe pod nagłówkiem każdej gazety drukować tłustymi czcionkami: „Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku". Jestto jednak tylko hasło agitacyjne, ci co je drukują, sami nie uczą się pisać, ani tym mniej mówić po polsku.

Należałoby jednak wytłomaczyć braciom Poznańczykom, że jest poprostu nieprzyzwoitością włazić do gmachu piśmiennictwa polskiego w tak zabałbranej, niechlujnej szacie językowej. Tak nisko nie stoi kultura polska, aby chciała tolerować podobne barbarzyństwo.

„Wy mi nie piszcie, bo wy pisać nie umiecie — oświadczył im przed niedawnym czasem pewien zna-

Z pól i lasów.

Niegdyś kraj nasz, jak długi i szeroki, zalesiony był bardzo gęsto i obficie, wskutek tego opady zasilały glebę, napełniały rzeki i jeziora. To też wtedy Narew rozlewała się szeroko po dzisiaj wyschniętych łęgach, ładowne szkuty nie więzły na wiślanych piaskach, a niegdyś królowa Bona, wedle miejscowej legendy — przejechała w łodzi z Łęczycy do Włocławka przez jeziora których ślad zaginął.

Ale wzrastająca ludność wparła się powoli w dziedzictwo żubrów i niedźwiedzi. Przedsiębiorczy szlachcic osadzał chłopów w różnych Wolach i Wólkach, uwalniając od ciężarów za karczunek boru. Z dymem więc szły leśne ostępy, bo tylko dbano o wydartą z kniei ziemię wyniszczając leśny materjał.

„Nie było nas — był las,
Nie będzie nas, będzie las",

dochowało się z tych czasów podziś dzień jeszcze.

Przychodziła dżuma, głód, wojna i rabunki, fala ludzka cofała się wstecz na stare sadyby i las porastał znów na zagonach, które jako pamiątka przepadłej kultury pozostały do dzisiaj po kniejach.

Ale wiek już dobiega cały, jak wszelkie wojny i wyludnienia masowe należą do przeszłości, kraj zaludnił się gęsto nie ustępując bogatej Francji. W ostatnich też lat dziesiątkach padły i ostatnie reszty wspaniałych borów naszych, bo gdzie zadaleko było do spławu powstały szosy i koleje, ustawiono parowe tartaki i wywieziono stare drzewo. Szlachta potrzebując gotówki zwłaszcza po sześćdziesiątym trzecim roku, bardzo często pociągała *stryja za brodę*, aż wytargała ją. Klimat też począł się zmieniać w niebywały dawniej ujemny sposób, a susze i grady nadawały mu prawie stepowy charakter. Przyszła wreszcie „ochrona leśna", która jednak, jak każde świeże prawo była jak gorąca blacha, świeżo z pieca wyjęta „początkowo parząca, a na której, po ochłodzeniu można usiąść w grubym negliżu".

Powiększyły się więc tylko koszta tranzakcji, a dewastacja lasów szła dalej.

Obecnie nadpływa, zdaje się, już ostatnia fala, która zmyje i pozostałe ich resztki, a jest nią parcelacja. Głód ziemi trapi chłopa, a gorączka złota szlachcica, który powycinawszy jakie miał lasy, sprzedaje teraz i zagajniki, krająć wycinki po nich powstałe na morgi.

Bank Włościański ułatwia parcelację i podnieca do wyrębu, nie pożyczając na zalesione grunty, które niby to ma zabezpieczać ochrona leśna. Widzimy tedy tutaj jak w wielu innych rządowych instytucjach: dwie sprzeczne ze sobą zasady wynikające z biurokracyjnej centralizacji, i nie uznawania lokalnych warunków.

W Cesarstwie bank włościański nie ma potrzeby troszczyć się jeszcze o lasy, u nas postępując tak samo na szkodę kraju działa.

Już oto w tym roku susza niebywała poczy-

ny autor i znany weredyk. Wy możecie być objektem badania lecz nie subjektem badającym".

Pan Romocki jako badający subjekt nie wiele zadawał sobie trudu. Powieść swą gęsto przeplata kroniką wypadków dawnych i nowych z wymienianiem rzeczywistych osobistości grających wybitniejszą rolę w dziejach zaboru pruskiego. Nie radzę nikomu opierać się na tym materjale. Nie myślę się sprzeczać o to, czy arcybiskup Stablewski jadł kawior na łożu śmierci i czy istotnie wyrażał obawę, że nie dadzą mu go jeść „w Ostrowie" czyli w więzieniu. Autentyczność tej anegdotki wydaje mi się wiele mniej wąpliwą niż inne jego informacje. Inicjatorem pracy organicznej obok dr. Karola Marcinkowskiego i Libelta był nie Potworowski — jak pan R. dwukrotnie twierdzi, lecz Mielżyński założyciel Muzeum Tow. Przyjaciół Nauk i galerji Mielżyńskich; — ani arcybiskupa Ledóchowskiego ani jego następcy Stablewskiego nie godzi się nazywać „prymasem Polski", bo jestto tylko urągowisko. Jeden i drugi „prymas" mieli wielce lokajskie wobec dworu pruskiego stanowisko i postawę, a władzę w obecnym „bezkrólewiu" mogły im tylko przyznawać bigotki poznańskie i szambelani papiescy. Pan Kościelski nie tym zraził sobie społeczeństwo, że przez „gadulstwo" stracił łaski Wilhelma II-giego i erę polityki dworskiej skrócił, bo ta era żadnych realnych ulg nie dała, a upokorzeń bardzo wiele, lecz przez to był niepopularny i za to ośmieszony, że w patryjotyzmie pruskim i entuzjazmie dla „naszej marynarki" przelicytował junkrów i landratów, za co przydomek „admiralskiego" otrzymał, że robił konkurencję cesarskim dworakom i pochlebcom i utworzył wśród polskich panów wprost modę krążenia wkoło dworu i polowania na tytuły i ordery, zkąd też jego kierunek polityczny całkiem słusznie nie „ugodowym" lecz „dworskim" nazwano. „Gadulstwo" zaś, „wallenrodyzm" jaki mu wyrzuca pan Romocki, był to poprostu odruch patryjotyzmu, któremu impulsywna natura Kościelskiego dała się porwać na wielkim zjeździe rodaków wszystkich dzielnic podczas pamiętnej wystawy lwowskiej 1894 roku.

Cesarz Wilhelm dotąd znający Kościelskiego jako „Prusaka mówiącego po polsku" niemile dotknięty był odkryciem, że tenże Prusak we Lwowie jako Polak się zamanifestował, ale nikt z rodaków niema prawa mu tego wyrzucać.

Ruch polski na Górnym Śląsku, bynajmniej nie „wyrósł na podkładzie socjalistycznym" — jak zdołali wmówić w p. Romockiego duchowni kierownicy poznańczyków, źli o to, że im ten ruch dobre stosunki z katolickim centrum zmącił. Ks. Jażdżewski potępiając ten ruch i wypierając się imieniem Koła wszelkiej z nim solidarności świadomie kłamał, wiedział bowiem, że stronnicy Korfantego wrogo występowali przeciw polskim socjalistom i ich kandydatom Polakom, co było może zbytecznym trwonieniem sił, które skoncentrować należało dla odparcia ataków ks. biskupa Koppa i jego tonzurowanej armji. Solidarność z biskupem-germanizatorem była zarówno dla ks. Jażdżewskiego jak i dla Stablewskiego ponętniejszą niż solidarność z Górno-Śląską masą robotniczą, stąd owa plotka, którą p. Romocki bezkrytycznie powtarza.

Mimo te błędy „Hakata" jest książką ciekawszą, niż znacznie lepiej pisana, lecz banalniejsza od niej powieść p. Wierzbińskiego.

Znać że autor opisuje jak umie to, na co patrzał i tak jak widział. Bez pogłębienia, bez krytycznego roztrząsania przyczyn, lecz ze zgrozą sygnalizuje straszny rozkład i upadek tego odłamu polskiego społeczeństwa. Na więcej go nie stać. Resztę muszą zrobić inni.

Jan Tarczewski.

Tymczasem.

Krytyka obecnego stanu społeczeństwa, zmiany i ruchy polityczne, wreszcie poczucie własne prawie każdemu z członków społeczeństwa powiedziały dawno, że obecnie jest źle. Całe życie zarobkowe, społeczne, a często i osobiste wydaje mu się niewartym wysiłku, niegodnym, aby jednostka wyższa, uświadomiona i pojmująca, jakiem życie być powinno, brała w nim udział.

Kiedyś przyjdzie lepsze życie, a to życie dokoła jest takie sobie, z dnia na dzień, tymczasem...

---

niła miljardowe szkody w rolnictwie, sadownictwie i hodowli. Żegluga na Wiśle i dopływach zeszła do minimum, brak wody powstrzymał kampanje wielu cukrowni, krochmalni i gorzelni. Wodę do picia i użytku wożono nieraz wiorst kilka, a zasiewy, w suchą rzucone rolę, nie wróżą plonu na rok przyszły. Jest to zapewne rok suchy wyjątkowo, ale od lat szeregu powtarzają się u nas ciągle takie anomalje w rozkładzie ilości opadów, których równowagę przywrócić może jedynie obfite zalesienie kraju.

Francuski episier, wycofawszy się z handlu, kupuje sobie fermę, sadzi drzewka i podlewa — nasz chłop wprawdzie zasadzi też czasem parę śliwek przy chałupie, ale wegietują one suchotniczo, nieskrobane, nie obcinane, póki je chłopaki na szczeble nie wyłamią. Trudno odrazu przez tysiąc lat wyrobioną dendrofobię zmienić na zamiłowanie ziemi, trudno urodzonego karczownika urobić wprędce na pomologa. Wszelkie zatym święta sadzenia drzew, rozdawnictwo szczepów i t. d. są kroplą w naszym morzu i nie zmienią zaraz jego psychologji, a tylko radykalne prawodawcze środki okazać mogą skuteczną pomoc.

Należy więc, aby opinja publiczna wzięła do serca sprawę poprawienia drzewostanu krajowego i rozważywszy ją w społecznych i fachowych zrzeszeniach, zebrała odpowiedni materjał dla przedstawicielstwa polskiego w Dumie, które by wniosło projekt odnośnego zapobiegawczego prawa. Przedewszystkim winno zawierać ono mniej więcej takie punkty:

Przy rozprzedaży folwarku zabrania się wycinać drzew przy drogach i ogrodach a zobowiązuje się właściciela do sprzedania całej dworskiej sadyby jednemu reflektantowi, któremu bank udziela pożyczki w wyższej normie.

Do tego pozostałego z większych dóbr folwarku dołącza się i las młodociany, jaki jest na majątku, lub część jego, jeżeli reszta przejdzie do innych parceli.

Włościanie, kupujący działki leśne, obowiązani są na nich gospodarować prawidłowo, prócz tego winni część ziemi zadrzewić owocowymi lub dzikimi drzewami, a także wysadzić drogi — i utrzymywać drzewa w porządku.

Dla nadzoru i instrukcji bank włościański utrzymuje objazdowych leśników i ogrodników, którzy z urzędu wszczynają dochodzenie karne w razie uchybienia od tych zobowiązań. Oni też przedstawiają do premji wzorowe plantacje ogrodowe i leśne.

Tymczasem pracuje robotnik w fabryce, marząc o nowej organizacji pracy.

Tymczasem pracuje inteligent w biurze, marząc o czasie — gdy znajdzie lepsze zastosowanie dla swych sił umysłowych.

Tymczasem wykłada nauczyciel, marząc o zupełnie nowym systemie szkolnym i zupełnie nowym materjale ludzkim do opracowywania.

Tymczasem orze chłop na zbyt małym gruncie i czeka, aż będzie lepiej.

Tymczasem obcina i chowa w allegorje swą myśl literat wobec podwójnej cenzury rządu i społeczeństwa, marząc, że kiedyś wypowie całą siłą głosu nietłumionego wszystko, co przemilczać, co niedopowiadać musi.

Niezorganizowane życie. rozbieżne interesa, rozbicie się na wrogie roje ścierających się drobnoustrojów, nieodpowiednia dla każdego praca, zatamowanie jasnych sił i dążności — wszystko to ciężkim zniechęceniem kładzie się na serca ludzi.

Chętnie tłómaczono zawsze czyny ludzkie pobudkami indywidualnymi. Dowodzono robotnikowi, agitując go, chłopu i obywatelowi płacącemu podatki, że wnet stanie się wszystko lepiej, jeżeli pozwolą mu wszystko robić dla swojej korzyści.

Dla swojej korzyści, w oderwaniu od reszty ludzkości, pracuje człowiek w naszym społeczeństwie. I zgarniając zarobek, czuje w ciężkiem niezadowoleniu, że wszystko to jest — tymczasem.

Bo ta praca, nawet wtedy, gdy zmieni się jej organizacja, gdy cały owoc jej będzie należał do pracownika, nie da mu również zadowolenia.

Bo ta praca jest tylko na własne potrzeby — jest więc nie twórcza, obciążana klątwą powszedniości, niemiła.

Potrzeba innej pracy stworzyła cały szereg prac nieobowiązujących, bezpłatnych, w których objawia się dążność do opromienienia swych czynów innymi pobudkami

Im bardziej niezorganizowanym, niezadowalającym jest stan społeczeństwa, tym więcej rozdwojenia pracy na obowiązującą i dobrowolną. Jedna jest ciężka — i przymusowa, druga szczęśliwa i łatwa.

Członek społeczeństwa polskiego od dziecka ma nienawistną książkę szkolną i ukochaną, którą sam wybrał.

Potym jako młodzieniec, o ile na obcym uniwersytecie nie ma tego samego rozdwojenia, przeżywa rozdwojenie między uniwersytecką nauką oficjalną a nowymi prądami nauki i życia. I tu jest wśród życia umysłowego wymarzony kącik dla siebie, w którym się tworzy pomysły, nie popłacające na egzaminach państwowych.

Potym obejmuje jakiś zawód, najczęściej nie wybrany z upodobania, lecz narzucony przez ciężkie warunki i ten wykonywa mechanicznie, czując zawsze, że to jest coś po za nim, a jego własne jest gdzieindziej, po za sferą obowiązku codziennego

Rzadko zdarzają się ludzie szczęśliwi, — którzy swój zawód mogą traktować jednocześnie, jako pole pracy ideowej.

Nudnie i ciężko wlecze się życie w tym rozdwojeniu. Oto jest praca zarobkowa, a to praca ideowa — oświata, organizacje społeczne, budowanie nowych form po za sferą zarobkową.

I wszystko to jest dźwigane, jak jarzmo, o ile nie stanie się celem pracy ideowość.

Najważniejszą dla szczęścia człowieka jest taka organizacja pracy, którąby mu zapewniała cały tej pracy równoważnik i podniosła jego dobrobyt.

Najdodatniejszą stroną tej organizacji, bez której cała organizacja ludzkości by nie odświeżyła, będzie zniesienie w społeczeństwie rozdwojenia pracy ideowej i zarobkowej.

Sciśle związane ze sobą społeczeństwo zniesie te niezliczone ośrodki pracy, w których stoi pojedyńczy człowiek z pojedyńczym swym interesem.

Na miejsce ich stanie jeden ośrodek — i będzie to ośrodek ideowy.

Wtedy każda bez wyjątku praca będzie zarazem czynem ideowym.

A taka praca podwyższa człowieka we własnym mniemaniu, nadaje wagę jego życiu, przynosi twórczą radość.

Każda rzecz spełniona będzie wtedy wcieleniem idealnego pierwowzoru, ku któremu dąży społeczeństwo.

A teraz — praca nudna praca bezskrzydła, ideowo obojętna, społecznie często szkodliwa — i tylko rzadkie momenty tej innej, „własnej" pracy i twórczości... .

Człowiek zaś powinien zlać się w jedno ze swą pracą i uczynić ją środkiem do osiągnięcia celu, który wart jest wysiłków życiowych. Inaczej praca, wykonywana z pobudek egoistycznych lub moralnie — obojętnych, staje się jałową dla jednostki samej, jałową dla społeczeństwa.

Człowiek, który w połowie swego życia mówi teraz: „to nie ja", powinien powiedzieć o wszystkiem, co z jego ręki wychodzi: „to ja, to zawsze ja".

Zarobek, utrzymanie się na powierzchni życia jest czymś, na co psychika rozwinięta spogląda z góry, jako na rzecz nieuniknioną, a jednak — rzecz niższego rzędu. Każdy cel pracy powinien być takim, aby się nań oczy podnosić musiało. Inaczej cierpi nie tylko wartość pracy, traktowanej, jako zło, jako konieczność, lecz i stan etyczny i napięcie siły wytwórczej człowieka.

Praca wykonywana w imię celu, przerastającego jednostkę, podnosi poziom pracy, podnosi poziom społeczeństwa, rozlewa w nim to zdrowie i rześkość, które zawierają w sobie odrodzenie prawdziwe.

W społeczeństwie rozbudzonym, twórczym żaden czyn, żadne zadanie nie powinno stać po za etyką, gdyż tylko uczuciowa wartość, wkładana w daną czynność, stawia ją w rzędzie dokonań owocnych dla społeczeństwa.

Coraz to większe zmechanizowanie pracy i odjęcie jej wszelkiego uroku wartości społecznej przez zmonopolizowanie wyników na korzyść jednostek, zabija ogromne zasoby energji moralnej.

Energja ta może być odzyskana przez zlanie się pracownika z pracą, przez skierowanie wszelkich prac ku wielkiemu zbiornikowi idei.

Wtedy intensywne życie wytwórcze będzie zarazem najbardziej wytężonym życiem etycznym i będzie pochłaniało bez reszty działalność i zainteresowanie człowieka.

Lecz zanim nastąpi taka reorganizacja pracy i, razem z nią, całego ustroju społecznego, że przemiana psychiki odbędzie się samorzutnie w tym kierunku, pozostaje nam tylko ta dodatkowa praca ideowa, która przyszłej budowy społecznej jest podwaliną.

Albo też, ogarnąwszy całe społeczeństwo, jako niezmierzony splot przyczynowości i stwierdziwszy zasadniczą jego współzależność i jedność, pozostaje nam jeszcze jedno: żyć tak, jak gdyby nowy ustrój już nastał na ziemi.

A taka postawa wobec życia wzmaga zasoby czynnej energji i przyśpiesza nadejście nowej, oczekiwanej formy, w której zostanie zniesiona wszelka tymczasowość.

Wtedy ludzie będą ponosili całą odpowiedzialność za całe życie, bo będą jego sprawcami. A tymczasem, stoimy wśród zatamowanych źródeł, skrępowani w każdym ruchu i nie poczuwamy się do odpowiedzialności za życie, które nie dosięga naszego poziomu i które ktoś zrobił za nas, a my tylko jesteśmy w nie wplątani, jak mucha w sieć pająka.

Savitri.

W zaborze pruskim.

(Reakcyjność i klerykalizm polityków poznańskich. Sprawa kandydatury Korfantego. Kandydat robotnik. Zwrot w obozie centralnym.)

Na całym obszarze Poznańskiego w chwili obecnej toczy się walka o kandydatury, mające być zatwierdzone przez naczelną władzę wyborczą. Zwoływane są wiece i sejmiki powiatowe, opowiadające się za tym czy innym kandydatem. Sprawia to wrażenie akcji dość demokratycznej, cóż, kiedy każdy wie, że cały ten aparat wieców, głosowań, wysuwania potrzeb kandydatów w każdym powiecie, niby dla umożliwienia naczelnej władzy wyborczej zatrzymania się przy osobistości „najgodniejszej", że wszystko to jest komedją wobec istniejącego kompromisu, zachowanego we wszystkich okręgach z wyjątkiem jednego, i wobec opinji, że ci z dotychczasowych posłów, którzy się sami mandatów nie zrzekną, muszą być wybrani ponownie.

Zapewne, nawet na tle tej formalistyki przedwyborczej można by przeprowadzić akcję, oddziaływającą na ogół ludności polskiej w duchu uświadomienia mu jego interesów politycznych i narodowych, jeśli już stanowisko menerów polityki poznańskiej nie pozwala na uswiadomienie społeczne ludu. Ale na to potrzebaby nie poznańskich polityków, bo ci sami nie posiadają żadnej idei przewodniej w swej działalności parlamentarnej, o ile nie chodzi o obronę interesów kastowych szlagonerji. O, bo wtedy panowie ci bardzo szybko orjentują się w sytuacji i śpieszą wzmocnić szeregi junkrów pruskich, głosując razem z nimi czy to za reformą finansów w duchu reakcyjnym, czy za podatkiem od tytoniu, czy za cłami od bydła i zboża, czy za podwyższeniem listy cywilnej Wilhelma II, czy wreszcie przeciwko podatkowi od spadków.

Sojusz z junkrami pruskimi w kwestjach ekonomicznych a z centrum klerykalnym w sprawach polityki — oto droga, którą kroczy berlińskie „Koło Polskie" od dawien dawna. I niema na razie nadziei na zmianę tej polityki, bo ucisk narodowościowy wytworzył w zaborze pruskim stosunki, uniemożliwiające wszelką walkę ideową w imię tych czy innych haseł społecznych. Frazes o „solidarności narodowej" wżarł się zbyt głęboko w masy wyborców — drobnomieszczan, chłopów i robotników, aby wyzyskująca go dla swych celów kastowych szlachta mogła się obawiać o utratę swej przewagi politycznej na korzyść jakiejś grupy, któraby chciała oprzeć akcję narodowo-polityczną polską na gruncie obrony interesów mas pracujących. Pomimo najrozmaitszych fermentów o barwach niby demokratycznych i „ludowych", jakie się w ciągu ostatnich kilku lat w Poznańskiem ujawniały, cała polityka zaboru pruskiego pozostała szlachecką, jak pozostała i klerykalną. A szlachcic i ksiądz, broniący interesów szlachcica, podawnemu panują w „Kole Polskim", choć wszedł do niego zastęp posłów z Górnego Śląsku, wybranych przez robotników i chłopów, bo tam żadnej szlachty polskiej niema.

Ucisk narodowościowy zmusza nawet robotnicze żywioły górnośląskie iść pod komendę szlacheckich polityków, kierujących „Kołem". Albowiem „Koło" to reprezentuje obronę narodową ogółu polskiego i frazes o tej „obronie", pomimo, że się z nim kłócą fakty realnej rzeczywistości, hypnotyzuje rzesze ludowe, dopiero w pierwszym pokoleniu uznające się za polskie. W każdym razie na Górnym Śląsku sprawa narzucania wyborcom skompromitowanych działalnością parlamentarną kandydatów nie idzie tak gładko jak w Poznańskiem. Świadczą o tym najlepiej losy kandydatury Korfantego.

Opuściwszy obóz narodowo-demokratyczny i połączywszy się z grupą „katolikowców", Korfanty stał się przedmiotem wybuchów nienawiści ze strony swych dawnych przyjaciół politycznych. Otwarta zdrada sztandaru nacjonalistycznego, w dodatku popełniona z pobudek wyłącznie materjalnej, finansowej natury i przejście do obozu skrajnie ugodowego, zwalczanego przez siebie w ciągu dziesięciolecia z całą zaciętością — nienawiść tę zupełnie usprawiedliwia. Ale Korfanty, ufny w poparcie Napieralskiego i skoncentrowanej w jego ręku prasy, nic sobie z tej nienawiści nie robił i przygotowywał grunt do pozornego uszczęśliwienia wyborców okręgu katolicko-zabrskiego swą kandydaturą. Na zebraniach i wiecach występował jako zwolennik „katolikowców", zwalczał narodowych demokratów na równi z socjalistami, jednocześnie zaś udowodniał, że niema nikogo godniejszego do reprezentowania całego obozu „narodowego" nad niego, przynajmniej w obrębie okręgu katolicko-zabrskiego.

Takie zachowywanie się Korfantego zniewoliło jego dotychczasowych zwolenników do rozbicia „solidarności narodowej". Narodowi demokraci, za słabi, aby przeciwstawić Korfantemu własną, samodzielną kandydaturę, powycofywali się z organizacji państwowych i zastrzegli się nawet, iż raczej poprą kandydata P. P. S., Biniszkiewicza, byleby nie dopuścić Korfantego do wyboru. Obóz „katolikowców" przez czas jakiś udawał, że sobie nic nie robi z tych pogróżek, ale w końcu zrozumiał, iż w takiej sytuacji szanse Korfantego nie są zbyt pewne. I oto Korfanty ogłasza list otwarty, w którym zrzeka się kandydatury, tłomacząc tę rezygnację potrzebą wzmocnienia pracy organizacyjnej i kulturalnej na miejscu, skutkiem czego jego przebywanie w stolicy rzeczą jest niepożądaną. Ten tedy nastrój wrogi Korfantemu, ogarniający znaczną częś wyborców-robotników, zmusił nawet tak potężną klikę, jaką utworzy na Górnym Śląsku Napieralski wraz z tuzinem swych przyjaciół, do ustępstw.

Zamiast Korfantego ma w okręgu katowicko-zabrskim kandydować Wojciech Sosiński, główny prezes „Zjednoczenia zawodowego" — klerykalno-narodowo-demokratycznej organizacji zawodowej robotników polskich. Osobistość to bardzo nieciekawa, człowiek o małej inteligencji, a wielkiej ambicji, jeden z tych „robotników od parady", których obóz szlachecko-klerykalny wysuwa zawsze, skoro chodzi o zamanifestowanie „ogólno-narodowej" polityki tego obozu. Przeciwstawia się więc „robotnika" Sosińskiego kandydatowi P. P. S., aby w ten sposób upiec dwie pieczenie: utrudnić walkę o mandat socjalistów i módz się chlubić obecnością w „Kole Polskim" obok Radziwiłłów, Chłapowskich i innych agrarjuszy prawdziwego, żywego robotnika.

Wbrew dotychczasowym pogłoskom nie kandyduje i Napieralski, wysyłając na okręg bytomsko-tarnogórski jednego ze swych podkomendnych redaktora *Katolika*, Dombka. W razie wyboru byłby on prawdopodobnie jedynym dziennikarzem w przyszłym „Kole Polskim", bo tak samo jak Napieralski i Korfanty, nie chce kandydować więcej ani Kulerski, redaktor *Gazety Grudziądzkiej*, ani Brejski, wydawca *Gazety Toruńskiej*. Natomiast przyszłe „Koło Polskie" w Berlinie będzie obfitowało w księży, którzy się pragną doń dostać w niesłychanej dotychczas liczbie. W razie wyboru już wystawionych kandydatów księży będą oni stanowili w „Kole" bez mała połowę jego składu. Można sobie wyobrazić, jak klerykalny charakter będzie posiadała reprezentacja parlamentarna zaboru pruskiego w najbliższej kadencji.

Tymczasem klerykalizm niemiecki i jego przedstawicielstwo polityczne — centrum wchodzi wszędzie na drogę trwałego sojuszu z hakatystami. Rezygnując ostatecznie z poparcia polskiego na Górnym Śląsku, centrowny zabezpieczają swe mandaty parlamentarne w ten sposób, że wzamian za poparcie ze strony żywiołów konserwatywno-hakatystycznych przy wy-

borach do parlamentu zobowiązują się do poparcia kandydatów hakatystycznych podczas wyborów do sejmu pruskiego. Kompromis w tym duchu został już zawarty w trzech okręgach śląskich.

Obserwator.

BADANIA NAUKOWE.

Filozofja momentu.

4)

(Dokończenie).

Metafizyka powraca dziś w formie ideałów transcendentalnych, monizmu materyalistycznego i t. d. Poza tem tłómacy się tu także ciągły nawrót ku wierze w postrącane bożki.

Ryszard Avenarius, jak wspomnieliśmy, uznaje też filozofję jako formę, lecz ubiera ją w kształty naukowości powszechnej. Powiada on: „ponieważ filozofja spekulacyjna zadawala w doskonały sposób potrzebęjedności ludzkiego umysłu, jako taka ma wartość formalną, a funkcja formalna jest potrzebą każdej nauki; naskutek tego uznać możemy filozofję za formalną naukę". Na to moglibyśmy się zgodzić, gdyby Avenarius nie upowszechniał filozofji. Rozbijamy ją na tysiące istnień indywidualnych, w których ma ona swe istotne siedlisko, nie księgi są bowiem filozofją, raczej są poszczególnymi aktami filozofowania. Filozofją można nazwać wprawdzie zbiór zszeregowanych pojęć, podciągnięty pod ustalone formy i zgromadzony w książkach, lecz będzie to filozofja jednostki nie obowiązująca ogółu. Prawdziwą filozofją jest filozofja żywa, idąca równolegle z potrzebami i rozwojem życia, której słabą zaledwie odbitką jest system, formuła, czy coś podobnego.

Jest ona, jak się wyraził Mach, formą ekonomicznego myślenia, lecz pretensji do poznawania prawdy ogólnej mieć nie może, gdyż to wskazywałoby już na przesąd metafizyczny przypisujący jej treść jako takiej, podczas gdy forma ekonomicznego myślenia stosuje się do danej bezpośredniości i stamtąd czerpie treść, pomagając w orjentowaniu się w niej. Teraz przystępujemy do rozwiązania teleologizmu w pojmowaniu filozofji. Czy filozofja jako forma ujęcia rzeczywistości wewnętrznej, ma cel?

Cel w rozmyślaniu scholastyków jest realnym bytem istniejącym poza nami w przyrodzie, czy też w zamiarach Boga, dziś voluntaryzm nakreśla nim granice działaniu ludzkiemu, podczas gdy jest on taką samą kategorją myślową, filozoficzną, jak wiele innych, ułatwiającą orjentowanie się w zjawiskach wewnętrznych i w faktycznym, czynnym ustosunkowaniu się do nich.

Filozofja jest formalnym porządkowaniem naszej treści życiowej, określaniem momentu bezpośredniego. Ponieważ ów moment może l yć jedynie *teraźniejszy* jako skutek świadomej percepcji, więc też myśl wartościowana rzetelnie i sumiennie unikająca złudnych sprawdzianów i mierników jest bezpośrednim ustosunkowaniem się świadomości do danej rzeczywistości realnej. Powiedzenia, że „filozofja ma cel w dociekaniu prawdy" lub „filozofja porządkuje nasze poznanie", są naiwnie dyletanckimi, słyszane zwłaszcza z ust człowieka współczesnego.

Powinniśmy wystrzegać się zacieśniania pojęcia filozofji do historycznego jej rozwoju, gdyż rozbija się ona na tysiące momentów, z których zaledwie ów aktualny wartościowaniu podlega.

Można wprawdzie nazwać filozofją zbiór zszeregowanych pojęć, podciągnięty pod ustalone formy i zgromadzony w książkach, lecz czyż zbiór ten w oderwaniu od swego twórcy nie będzie przedmiotem religijnych uczuć, skoro zachowa swój autorytet chociażby w duszy jednego człowieka? Prawdziwą filozofją jest myśl żywa, płynna i zmienna, jak zmienny jest moment poszczególny, jak zmienną jest treść. Forma, jako funkcja psychiczna, ma zasadę nie celowości na oku, lecz odpowiedniość i harmonję zestawiania formalnej swej pełni z światem empirycznym.

To usunięcie celu zewnętrznego, przedmiotu religijnych uczuć, nie obala wcale myśli i twórczej mocy, owszem, gruntuje ją na najważniejszym punkcie życia, na rubieżach świadomego wysiłku i stanowi niejako wał ochronny przed wszelką uległością tradycyjnym, jak i rzutowanym w przyszłość metafizyczną,— bożkom.

Filozofja jest odpowiednikiem czysto formalnym naszej subjektywnej treści, a więc kryterjów obowiązujących powszechnie niema. To ostatnie skłania a raczej wskazuje drogę, którą pójdzie myśl w tworzeniu światopoglądu, a tą jest filozofja momentu w oderwaniu od wszelkich metafizycznych straszaków i idealistycznych kombinacji społeczników na temat przyszłości „*człowieka wogóle*" i „ludzkości", jej powstających i mających powstać ustrojach ekonomicznych i t. d.

Indywiduum zamknięte w sferze swoistych przeżyć jedynie, posiadające własne życie tylko, niezdolne do zrozumienia czegoś poza sobą, z zakresu swych egotycznych możliwości wyjść nie może, wszelkie zaś myślenie o przyczynowej zależności naszego istnienia jest jeno niepotrzebnie krępującym pochód wysiłków twórczych balastem metafizycznym, bez odpowiedników treściowych w rzeczywistości bezpośrednio danej.

O ile nie mamy zamiarów stwarzania w miejsce starych, nowych bożków o jednym i tym samym wykładniku uczuciowym, nie budujmy granic możliwości twórczej.

Stanisław Baczyński.

POEZJA.

Kora porwana.

I.

O brzeg jeziorny fale biją,
Kwitnący brzeg pieszczony,
Fijołki na nim wonne rosną,
Krokusy, anemony.

Okeanosa cór urodnych
Korowód pląsa roześmiany,
A z nimi Kora lekkostopa
W wiosenne idzie tany.

Demeter córa przedostojnej,
Pani rodzajnej niwy —
Na kwietnej bujnej łące pląsa
W słoneczny dzień szczęśliwy.

. . . .

Zeusowi służyć Gea rada
Szat swych tka wzór bogaty:
Strzelą nad łąką, jak cud żywy,
Srebrzyste mnogie kwiaty;

Przesłodka woń ich, gwiazdy oczu
Wraz ku nim serca kłonią,
Cieszy się niebo, morze cieszy
Urokiem ich i wonią.

Ujrzy je Kora lekkostopa
I narcyz zrywa biały —
W słonecznym blasku modre fale
O szczęściu pieśń śpiewały.

Przeczże Hadesu kwiat srebrzysty
Zniewolił twoje oczy?
Ajdoneosa wóz ognisty
Już się z łoskotem toczy.

Pierzchają dziewy w lęku srogim,
Wóz płomienisty huczy —
Przeczżeś, Demeter córo wplotła
Narcyze w włos twój kruczy?

Kwiat cię poślubił Hadesowi,
W podziemi idziesz mroki,
Wichrem się niesie wóz ognisty
Przez Etny siwej stoki.

Ajdoneos się nie lituje
Żałości twej, rozpaczy —
Demeter, pani przedostojna,
Już córy nie obaczy.

Straszliwej góry czarne wrota
Ognie i dymy zioną,
W głąb się zapada wóz z płomieni
Z Hadesa młodą żoną.

II.

Przez lądy idzie i przez wody
Głos skargi żałośliwy —
Usłyszy córy płacz Demeter,
Pani rodzajnej niwy.

Nad głową białe wzniesie dłonie,
Drze rąbek, cudnie tkany,
Już na ramiona boskie płyną
Starganych włosów piany.

Zasłoną czarną się okryje,
Na wiatr wołanie poda:
— Gdzieś mi odeszła, Persefono,
Urodna córo młoda! —

Przez łąki bieży i przez niwy,
Nad morskie bieży wały —
Demeter boleść przedostojnej
Świat oniemiła cały.

Nie śmie wyjawić prawdy srogiej
Rolnik, orzący niwę,
Nie śmie wyjawić jej zwierz leśny,
Ni ptaki świegotliwe.

Pochodnie wzięła gorejącą,
Bez tchu w żałości bieży:
— Ozwij się, Koro, córo młoda,
Woła cię głos macierzy! —

Dziewięć dni długich boleściwych
W szukaniu nie ustała —
Nie skrzepi boskich ust ambrozja,
Nie skrzepi kąpiel ciała.

Aż wszystkowiedzy pan woźników
Słonecznych, Helios władny,
Demeter powie przedostojnej
Zewsa podstępne rady.

III.

Już jej najmilsze sercu wiano
Trynakrja nie pocieszy,
W Eleusis skryje gniew i żałość —
Hej, klęskaż ludzkiej rzeszy!

Napróżno woły siworogie
Pług ciągną poprzez niwy,
Próżno się za wołami trudzi
Rolnik w czas nieszczęśliwy.

Napróżno siewcy ziarno złote
Miotają dłońmi swymi;
Demeter, pani przedostojna,
Odjęła płodność ziemi.

Już nie ucieszy oka kwiecie,
Ni młoda ruń zielona.
Już wszelkie drzewo i krzewina
W upalnym słońcu kona.

Ani nad pola nie wystrzeli
Złocisty kłos dostały,
Zasuły sady zwiędłym liściem
Oliwy i migdały.

Idzie nad ziemią przerażenie,
Głód idzie, mocarz srogi,
Nędzą okrutną zmożon człowiek
Upada pośród drogi.

Już bogom ofiar pożądanych
Z śmiertelnych nikt nie składa,
Już na ród ludzki z Głodem idzie
Zatrata i Zagłada.

Aż się obaczy Gromowładny,
Orłową brew nachmurzy:
— Irys, wysłanko niebios hyża.
Gotuj się do podróży. —

Już przed Demeter boleściwą
W Eleusis lotna stanie:
— Wróć ziemi płodność, wrócą-ć Korę
Na Zeusa rozkazanie. —

IV

Podziemnych światów mroczny władco,
Małżonkę żegnaj miłą!
Już z woli Zeusa odebranej
Nie wstrzymasz żadną siłą.

K' macierzy schodzi uśmiechniona,
Jak cudny dzień wiosnowy,
Śladem jej wonne wstaje kwiecie,
Skowronków chór u głowy.

Hej, gody ludziom! szczęsna dola!
Radosny trud i praca:
Jużci rzucone w ziemię ziarno
Tysiącznym plonem wraca.

Ledwie udźwigną owoc drzewa
Gałęźmi obwisłymi —
Demeter, pani przedostojna,
Wróciła płodność ziemi.

V.

Granatu ziarno potajemnie
Wżdy Hades dzielił z żoną —
Poprzed piorunnym Zeusa tronem
Tako rzecz osądzono:

Trzy ćwierci roku u macierzy
Po ziemi Kora chadza,
Trzy ćwierci roku życie nieci
Potężna boskiej władza.

Na zimę zasie osmętniała
W małżonka idzie łoże,
Złotych ziarn życia pilnie strzeże
W podziemnej swej komorze.

W ciemnicy boska przechowuje
Odrodzeń moc radosną:
Co zima grzebie, zmartwychwstanie
Z słoneczną nową wiosną.

Syrakuzy, 1911.

Marja Markowska.

KRYTYKA.

Dary gwiazdkowe.

H. Sienkiewicza: **W Pustyni i w Puszczy** — i *W. Sieroszewskiego*: **Bajka o Żelaznym Wilku.**

Książka H. Sienkiewicza wydana być powinna inaczej. Illustracje pustyni, typy krajowców, okazy flory i fauny afrykańskiej byłyby pożądanem *pendant* do dziejów dzielnego chłopca i małej Nel, porwanych przez zwolenników Mahdiego. Książka pomimo charakterystycznego stylu Sienkiewiczowskiego — tego stylu prostego i jasnego, który w dziele dla młodzieży wybornie odpowiada celowi — przypomina utwory Kiplinga. Przypomina je zarówno gorącą sympatją do zwierząt, (pies Saba, słoń King), jak jędrną, zdrową tendencją Lecz autor angielski jest bliższy surowej prawdy. Miękkość Sienkiewiczowska pozwala raz po raz na niebezpieczeństwa, które nasuwają się, grożą i nagle w chwili ostatecznej rozpraszają się jako straszliwe złudzenie. Mała Nel już już ma być pożarta przez „wobo", murzyna porywa goryl, karawanie grozi śmierć z powodu braku wody — lecz w chwili ostatecznej, gdy już skala efektów wyczerpana — zawsze następuje niespodziewane wyzwolenie. Tego rodzaju efektowne piętrzenie niebezpieczeństw, jeśli się je powtarza zbyt często i zawsze kończy pomyślnie, doprowadza, zapewne, do tego, że mały czytelnik, wiedząc z góry, że wszystko skończy się jak najlepiej, przestaje wierzyć w samo niebezpieczeństwo. Bohaterowie Kiplinga — mniejby zapewne dbali o zbawienie murzynów, nie chrzciliby umierających na śpiączkę pogan i w końcu Staś i Nel — po dziesięciu latach — może nie pobraliby się tak bogobojnie, jak u Sienkiewicza

Lecz mimo dobrze znany i powtarzający się bez zmiany tyle już razy sentyment sienkiewiczowski — książka jest ciekawa, a zamiar stworzenia bohaterskiego typu chłopca jako wzoru do naśladowania dla młodych czytelników — dokonany z rzetelnym artyzmem.

„Bajka o Żelaznym Wilku" — ma inny podkład tendencyjny i uczuciowy. Uczuciowość tu surowsza, bardziej męzka. Sieroszewskiemu nie chodzi o olśniewanie wyobraźni młodzieży wizją świata zmyślonego, w którym wszystko jest lepsze, łagodniejsze i barwniejsze, niż w rzeczywistym. Wprowadza on młody umysł do świata twardego, gdzie obok zamiarów rzetelnych i ludzi uczciwych plenią się złe nałogi, zbrodnie, brudne pomysły, zdrady. Stosunek światła do cienia jest tu ten sam, co w świecie ludzi dorosłych. Sieroszewski wprowadza młodego czytelnika w życie dłonią surową. Jako wychowawca należy on, widocznie, do tego zastępu, który głosi: nie trzeba złudzeń ani mirażów. Im prędzej dziecko pozna właściwy charakter życia — tym lepiej.

W duszach młodzieży barwna książka Sieroszewskiego zostawiać może nieco smutku. Lecz jest harmonijna i artystyczna. A przytym wydana przepysznie. Zdobi ją winieta okładkowa i czternaście rycin Jana Rembowskiego, z których każda jest owocem wytwornej pomysłowości i daje świadectwo, jak głęboko czuje ten malarz charakter *baśni*.

L. Ch.

„Legjon" na scenie krakowskiej.

Czwartą rocznicę śmierci Stanisława Wyspiańskiego teatr krakowski uczcił przez wystawienia po raz pierwszy „Legjonu".

Czytając ten szereg wizji poetyckich, które dają obraz męki duchowej Mickiewicza, stwarzającego w 1848 r. „legjon sprawników sprawy", ma się wrażenie, że inscenizacja sztuki jest niemożliwa. A jednak Kraków wybrnął zwycięsko z technicznych trudności zawahał się tylko przed wystawieniem sceny ostatniej: łodzi nad wielkimi wodami, w których kłębią się ciała nad którymi unoszą się skrzydlate Zmory, Syreny, Harpje, Eryńje i t. p.

Gorzej wypadła gra artystów. Jeden tylko moment stoi zupełnie na wysokości zadania, to scena, w której do Mickiewicza, zgnębionego, że masy porzuciły jego sztandar, przychodzi Rapsod. uosobienie tradycji legjonów i walk o wolność ludów. Tu w grze pana Józefa Węgrzyna czuje się poszum wieków nad wielką ideją i ból tych, którzy jej wierni zostali. W innych widzi się ciągle koturny, bo koturnowy jest Mickiewicz w grze p. Solskiego. Tym sposobem z legjonu ulatnia się wszystko, co jest bohaterstwem, borykaniem się, walką, zostaje to, co jest skargą, nieszczęściem, niedolą.

Do tego ogólnego wrażenia nie mało przyczynia się swoista cenzura krakowska, która usunęła wszystko, co jest w Legjonie n i e d o s y ć k a t o l i c k i e. A musiało tego być sporo, boć Wyspiański przedstawił Mickiewicza w okresie towianizmu, który zdecydował o wrogim stosunku do niego ojców Zmartwychwstańców i przez nich kościoła katolickiego; bo akcja odgrywa się w Rzymie, gdy Mickiewicz, zelektryzowany wieścią o rewolucji w Sycylji, przybywa do Piusa IX, papieża liberała i wzywa go, by stanął na czele walki o wolność ludów.

Drogą do audjencji u papieża dla wszystkich Polaków, a więc i dla Mickiewicza byli Zmartwychwstańcy, którzy właśnie się starali o umieszczenie na indeksie „Ksiąg Pielgrzymstwa" i „Kursu literatur Słowiańskich" i nie omieszkali wyzyskać położenia by wielkiego poetę ugiąć wobec siebie.

Wyspiański maluje Mickiewicza takim, jakim go nam przekazała historja, chwyta z jego pobytu w Rzymie te momenty, w których się najsilniej zarysował, a równocześnie charakteryzuje nastrój społeczeństwa polskiego i poszczególne jednostki np. Matkę Makrynę, księdza Jełowickiego, wreszcie papieża Piusa IX, ku któremu wówczas zwracały się oczy nietylko takich ludzi, co jak Mickiewicz, myśleli o odrodze-

niu ludzkości za sprawą kościoła katolickiego, ale nawet tacy rewolucjoniści jak Mazzini. W momencie, doskonale uchwyconym przez Wyspiańskiego, jeszcze był Pius IX nie zdradził sprawy zjednoczenia Włoch, jeszcze, nie wyklął dzieł Mickiewicza. Ale już zarysowywał się chwiejny stosunek do idei wolnościowych i wykazać się on musiał w rozmowie z takim marzycielem czynu, jakim był Mickiewicz. Nadzwyczaj subtelnie cieniuje Wyspiański zmaganie się tych dwuch indywidualności. Mickiewicz wzywa „w ogromnej potędze" papieża do spełnienia tego, co uważał za jego obowiązek. Widok głowy kościoła rozpala go, chciałby w Piusa „własne ognie przelać", nie liczy się z obowiązującymi formami, „ujmuje papieża za rękę i potrząsa nią silnie", a gdy nie może odeprzeć jego zarzutów przeciw mesjanizmowi, pokonywa go i zdobywa błogosławieństwo potęgą swej rozpaczy.

I w tej chwili następuje przeobrażenie nastroju: błogosławieństwo, staje się nietylko namaszczeniem dla Mickiewicza, lecz i dla Piusa. Wzywa on poetę, by szedł swą drogą niezachwianie tymi samymi słowy, którymi pierwej Mickiewicz zwracał się do niego.

„Przystaną koło ciebie szatany,
Złe moce koło ciebie pojawią.
Pierwsi żółcią goryczną zaprawią.
Pomni wtedy, pomni, że noc idzie,
Która małe, małoduszne schłonie,
gdy mogłeś stać w gwiezdnej koronie
na ciemnych błękitów szczycie
Nie zechcesz upadać w odmęcie".

Te słowa w zastosowaniu do papieża wydały się w Krakowie niestosowne. Tylko papież nimi przemawia. Zepsuto tym sposobem ten cudny efekt, jakim jest tak często powtórzenie u Wyspiańskiego; szczególniej w Legjonie, zmieniono całkowicie nastrój. Solski wchodzi, jak zwykły pielgrzym, na chwilę głos podnosi, zostaje zgromiony, — opuszczono całe wahanie się Piusa. Poeta otrzymuje łaskawie błogosławieństwo od papieża, który przez cały czas nie zrzuca maski potęgi i wspaniałości kapłana — monarchy. Nie chcę tu mówić o grze artystów z punktu widzenia scenicznego, akcentuję zupełne przeinaczenie intencji autora, okropne fałszowanie „Legjonu". Ale idźmy dalej. Opuszczenie wspaniałej i groźnej sceny XII da się wytłomaczać trudnosciami inscenizacji, ale powiedzieć tego nie można o scenie V spowiedzi Mickiewicza u księdza Jałowieckiego. Przyczyna tu jest zgoła inna Mickiewicz w tej scenie nie jest tą wierną, pokorną owieczką, co więcej: widać, że nie może się porozumieć ze „sługą kościoła" i spodziewać się można, że właściwa spowiedź będzie czczą, pustą, formalnością. Wyspiański używa tu znów powtórzenia. Działa ono nietylko jak przyśpiew muzykalny, ale uwydatnia niemożliwość wewnętrznego akordu między mistykiem marzycielem, który mimo że pobożność była potrzebą jego duszy nie mieścił się nigdy w ramach kościoła katolickiego — a suchym, ciasnym, bezwzględnym księdzem, który widzi tylko „plamy, brudy" i „błędów winę", rad potępiać, karać i wyklinać.

Cudna jest rozmowa matki Makryny z Mickiewiczem w Legjonie: niestety na scenie wieje od niej chłód. Pani Wysocka ma momenty wspaniałe, zwłaszcza u papieża, ale brak jej prostoty i miękkości. Mickiewicz przychodzi do niej, „jak do matki", a na chwilę pozbyć się nie może patosu, w którym ginie jego wielkie cierpienie *moralne*. I znów ta cenzura! Wyspiański pisze..

„Stoją oto posągi nade mną.
a serce moje samotne,
a modlitwy jako dym ulotne:
martwota mię w Noc wiedzie ciemną,
sklep mię mrocznych marmurów pochłania;
miasto duchów zmartwychwstania
lęku widziadło mnie goni,
modlitwa moja daremną,
Boga nadewszystko winuję"

P. Solski mówi: „*Siebie* nadewszystko winuję".

Skrócenia i poprawki w Legjonie, gdzie poeta oddaje nastrój duchowy, niesłychanie subtelnie cieniując wyrażenia, gdzie każde słowo jest potrzebne, choć pozornie zda się mieć tylko wartość muzykalną, jest co najmniej okropnym barbarzyństwem, a rodzaj tych poprawek ciekawe rzuca światło na galicyjskie stosunki: przystosowuje się tu odpowiednio, przycina na miarę krawca i Wyspiańskiego i Mickiewicza. I jest wszystko dobrze: muzyka wiersza, czar dekoracji przysłania to, co w Wyspiańskiego mogłoby zburzyć codzienny, miły spokój, wstrząsnąć zbyt silnie nerwami, nasunąć zbawcze zapytania.

Wł. W.

Pan Nalepiński, jako herold idej Micińskiego.

(Dokończenie).

I nie tylko z tym Chamberlainem „nie powiodło się" p. Nalepińskiemu. Do Bergsona przychodzi on też niewiadomo z której strony, wyrywa dowolną cytatę i tym chce dowieść, że „niewiem" Micińskiego równa się intuicji Bergsona, że równa się jego idei twórczej ewolucji. A przecież nie rozwiązuje problemu Chrystusa to, że Bóg jest dynamicznością wedle Bergsona. Chodzi o historycznego Chrystusa, o człowieka żyjącego w pewnym czasie i w pewnej przestrzeni, a więc w danym wypadku dynamiczność, jak i statyczność niczego nie dowodzą. Rozumiem, że w ten sposób można interpretować ideę Bóstwa, ale w polemice nie chodzi o ideę Boskości, lecz o postać historyczną.

Z takiego to amalgamatu tworzy p. Nalepiński argumenty popierające to, czego nie wie sam p. Miciński. Gdyby p. Miciński dał dowody historyczności Chrystusa, stałby się dla wielu sumień w istocie pocieszycielem. Trzeba było bowiem widzieć wiece w Niemczech, organizowane przez prof. Jeremiasa, by zrozumieć, jak wielce potrzebne, niezbędne są dowody świadczące kategorycznie o egzystencji historycznej Chrystusa. Profesor Jeremias miast argumentów intonował wtedy. pieśni nabożne. a zwrotki jej miały ochronić od pytań, od dyskusji, która rozogniała mózgi i serca. Tupano też nogami, rzucano obelgi — ale to przecież nie są argumenty.

I dla tego wydaje mi się cenną myśl Niemojewskiego, pragnąca wyjaśnić dziejowe mroki. Przyszłość osądzi, kto ma rację. Praca Niemojewskiego pozostanie jednak w każdym wypadku, bo zrodziła się ona z tęsknoty poznawczej, bo nie skapitulowała przed liryzmem, tradycją, lecz śmiało postawiła swoją odważną hipotezę Między Micińskim a Niemojewskim lub Loisym dyskusja jest niemożliwa. Są oni ludźmi z zupełnie dwóch odmiennych epok, a przytym o zupełnie odmiennych wyszkoleniach umysłowych.

Pan Nalepiński pomylił się widocznie w swoich sądach. Zapewne chciał czytelnikom *Kurjera Warsz.* napisać nowy feljeton o londyńskich teatrach, a... napisał o „naukowej" pracy p. Micińskiego. Chamberlaine i Bergson mieli się stać kanonizatorami jego kryterjów, lecz stali się reflektorem, rzucającym kompromitujące światło na.. wiedzę p. Nalepińskiego. Być bowiem heroldem p. Micińskiego bardzo łatwo. Trzeba tylko nic nie wiedzieć, a to wystarczy, by módz później z pompą obwieszczać urbi et orbi, że „nic fał-

szywszego, niż chęć wytłomaczenia zjawy duchowej przez różne intelektualne konjunktury" (str. 12).

Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się w jaki sposób p. Nalepiński tłómaczy sobie zjawiska psychologiczne? Czyż są inne drogi, niż doświadczalno-intelektualne? Czyż intuicja nie jest jedną z dróg właśnie intelektualnego poznania? (Poincaré!) Już samoobserwacja poucza, że niestety innych dróg niema, a wszystko cokolwiek o tych innych drogach się mówi to tylko słowa, słowa — pusty dźwięk. Wolno panu Micińskiemu i panu Nalepińskiemu bawić się w przesiewanie przez sita swych wyobraźni dźwięcznych słów. Wolno *Kurjer. Warszaw.* poważnie traktować te „naukowe" enuncjacje, lecz niewolno opinji publicznej karmić tylko taką nauką. Heroldowie zaś irracjonalizmów, niech wprzódy fachowo badają u źródeł kwestje, o których piszą, a dopiero wtedy niech informują publiczność.

Radzimy przeto naszym czytelnikom, by indywidualnie kwestję tę przemyśleli. Niech jednak pamiętają, że w każdym zagadnieniu chodzi o koncepcję przedewszystkim, że negować można tylko w imię jakiegoś pozytywnego, sprawdzalnego twierdzenia. Wtedy się przekonają, że laury p. Micińskiego są co najwyżej bobkowymi liśćmi, a p. Nalepiński jest tylko... irracjonalnością w splocie wielu irracjonalności naszego życia.

Eustachy Czekalski.

Z dziejów Duszy.

Pamiętnik Marceliny Kulikowskiej. [1])

W puściźnie pozostałej po zgasłej poetce znaleziono kilkanaście zeszytów notatek pisanych dorywczo, w różnych czasach i miejscach. Wybór ich zawarty w książce, świeżo wydanej, obejmuje lat piętnaście, od r. 1895, od czasów studenckiego życia na uniwersytecie w Genewie, aż do czerwca 1910 roku. Ostatnie słowa, noszące datę 9 czerwca skreślone były zaledwie na dni kilka przed śmiercią; 19 czerwca wystrzałem z rewolweru młoda autorka przecięła tragiczne pasmo swego żywota. Cała jej dusza, cała istota wypowiada się na kartach tej książki, która n i e b y ł a p i s a n a d l a l u d z i... Podajemy z niej wiąź myśli, pięknych jak tylko mogą być piękne kwiaty, przez burzę wiosenną w ogrodach samotności — posiane. .

Nie umiem marzyć bez łez, i bez krwi płakać nie umiem — więc może temu czuję tak bardzo.

* * *

Smutno odlecieć w świat i rzucić dom swój i wszystko, co miłe, co przeżyte. A jeszcze smutniej, i jak smutniej — odlecieć i nie rzucić nic.

* * *

Samobójstwo jest dla tego tragiczniejsze od śmierci naturalnej, że ten, który się targnął na własne życie, niejednokrotnie musiał przedtym w przepaść śmierci zazierać. Umierający często nawet nie wie o istnieniu tej przepaści, zawsze, do ostatniej chwili patrzy na rozkwitające drzewo życia i myśli o pożywaniu jego owoców.

* * *

Samotność, samotność, samotność!... W największym gwarze — samotność, z najbliższymi ludźmi samotność, po otworzeniu najgłębszych tajników serca — samotność. I tylko ona!

* * *

Największym nieszczęściem Galicji jest nie to, że ją duszą, lecz to, że dusić się daje. Tu ludność z głodu puchnie, a milczy! Tu ludność z kraju swego wychodzi, a milczy! Tu ludności nie pozwalają czuć ani myśleć, a milczy! Tu ludności głośno, wyraźnie mówią, jak ją duszą, a milczy!

* * *

Nędza żebrząca jest bezsilna — nędza żądająca groźna. Trzeba być groźnym. Ludzi uczyć trzeba, by grozy-siły, grozy-postrachu nabierali w siebie. Tak czynią p a r t j e s k r a j n e. Tylko że pobudzone przez nie tłumy nie zatrzymują się na drodze groźby, lecz idą dalej, przeradzają się w instynktem rządzone masy, wydobywające ze swych tajni najdziksze porywy, przed którymi, pod wpływem rozmysłu, cofa się oddzielny człowiek.

* * *

W literaturze naszej bezustannie dźwięczą dwie nuty: miłości i litości nad społeczeństwem.

* * *

Jak się czytają dzieła sztuki? Oczami, wrażeniami już przeżytymi, cudzym sądem, cudzym sądem... najczęściej.

* * *

Są ludzie, z którymi mówić trzeba cudzymi utartymi wyrazami, ani bowiem słów własnych nie mają, ani nie rozumieją żadnych bezpośrednich słów mowy ludzkiej, musi ona przejść przez sitka liczne, by do ich móżdżku trafić mogła.

* * *

Człowiek zdrów t w o r z y życie; człowiek mający zdrowia mniej, a przez to może myśli więcej, patrzy na tworzenie się życia.

* * *

Za nic są mi prawdy od innych wzięte, muszę moje własne wydobyć z siebie i wtenczas dopiero zdolna jestem do pojęcia ich.

* * *

Literat, artysta zmuszony bywa niekiedy wyjąć swoje własne serce, by sprzedać... Oto, co kosztuje najwięcej.

[1]) Nakładem spółki nakładowej „Książka".

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *O dzieciach w polityce.* „Cudzoziemcy powiadają, że gdy słyszą niektórych Polaków, rozprawiających o polityce, miewają wrażenie, że to mówią jakieś dzieci". Niestety, pojmowanie spraw politycznych w sposób dziecinny czyli t. zw. romantyzm, z literatury przeniesiony w życie — był u nas plagą wielu pokoleń, włącznie z obecnym pokoleniem. Dobrze więc się stało, że, gdy jedni boleją, iż z polityki polskiej „wyświeca się romantyzm", a inni, w obozie cyganerji krakowskiej, trudnią się wyrobem tandetnego romantyzmu na eksport do Królestwa pod firmą W. Feldmana — warszawska *Myśl Niepodległa* powściąga tę rozhukaną dziatwę słowami ciętej, ostrej, lecz zupełnie słusznej reprymandy:

Musimy nareszcie skończyć z polityką, „gdzie zasługą upaść z chmur". Czas też zerwać z dyletantyzmem politycznym w znaczeniu fuszerki. I czas przestać mówić

o polityce sposobem — dzieci. Minęły czasy, kiedy zdawało się, że cały trud przyszłościowy zamyka się w czterowierszu piosnki krakowskiej: „Wsiądę na konika, pokręcę wąsika, dobędę pałasza, wiwat Polska nasza!“ Akurat w dzisiejszych wojnach konik, wąsik i pałasik wszelkie stracił znaczenie. Z rajskiej dziedziny ułudy spadliśmy w otchłań rzeczywistości srogiej, gdzie zapał sam cudu stworzyć nie może, choć go wciąż zapowiada. Musimy rozwinąć w sobie zaniedbany intelekt, krwawym znojem spłynąć, Syzyfowe podejmować trudy, gdzie właśnie jeden entuzjazm dzierży nas na stanowiskach, z których tylu romantyków uszło! Nie pora zatykać w powietrzu błękitnym szumnych chorągiewek, gdyśmy jeszcze fundamentów nie dźwignęli...

Krzywdę wprost wyrządza się romantykom, wywlekając ich z grobów i trupy ich sadzając na krzesłach kurulnych. Cały ich pogląd na świat, na narody, na historję, na życie ludzkie należy do umarłej na zawsze przeszłości. Bierzmy od nich gorącość serc, ale na rozumy nie zamieniajmy się, ani na wiedzę. Legjon Mickiewicza nie dał historji wątku światotwórczego, tylko temat Wyspiańskiemu do dramatu. Naród nie może żyć tylko po to, aby pozował dramaturgom. Kto mu chce rad udzielać, ten musi długo uczyć się, zbadać gruntownie wiedzę o życiu narodów, poznać ustroje nowożytnych państw, organizację społeczeństw! A prawo apelacji do uczucia ma tylko ten, który nas przedtym opanował orężem mądrości.

Ubolewać należy, że u nas ludzie skądinąd szlachetni, przepojeni miłością ojczyzny, gotowi nawet do najdalej idących poświęceń, zupełnie zatracili zmysł polityczny i tradycje wojskowe, skoro o polityce i wojskowości rozprawiają jak dzieci. Sto lat temu pierwsza lepsza markietanka gadała o tym daleko mądrzej. Słusznie ktoś powiedział, że w Polsce umarł mąż publiczny.

Nad tymi słowami winni zastanowić się poważnie ci, którzy nie są „dziećmi”, lecz „dzieciom” podbijają bębenka. A jednoczą się w tym zajęciu wcale różnorodne żywioły: obok nieuleczalnych, starej daty „przedświtowców” rzekomi postępowcy z warszawskiej szkoły pozytywizmu. Obok ostatnich mohikanów szlacheckiej bojowej „fantazji„ — wodzowie młodzieńczej skrajnej, rewolucyjnej frakcji, których „materjalistyczne pojmowanie dziejów tworzyć umie małżeństwo mieszane z pojmowaniem dziejów romantycznym, mimo ciągłego ronienia płodu”.

Wynikiem tej bardzo złożonej akcji wielce różnorodnych żywiołów jest rosnący w głowach zamęt, lekceważenie najważniejszych zadań na rzecz apokalipsy powstańczo-przewrotowej, szybki i doszczętny zanik właściwego zmysłu *miary* w polityce — a natomiast rządy afektów uczuciowych i wszechmoc frazesu. Siłą naturalnej reakcji ten stan rzeczy wytwarza i skupia na przeciwnym biegunie taktycznym tę osobliwą newrozę ludzi, kierunków i metod przyziemnych, tuzinkowych, szarawych, lojalnych, wykrętnych, trwożliwych i kompromitujących.

Polityce „dzieci” z jednego końca musi na drugim końcu stale towarzyszyć i odpowiadać polityka—„ciotek.” Słusznie więc ktoś powiedział, że w Polsce umarł „mąż” publiczny.

* *Przykre milczenie.* Kiedy, wślad za deklaracją Koła Polskiego, panowie Nisselowicz i Friedman, w imieniu całego żydowstwa, dopuścili się ciężkiej zniewagi względem narodu polskiego—spodziewano się ze strony Żydów polskich jakiegoś gromkiego protestu, który by rolę owych dwóch posłów litwackich do właściwszych sprowadził granic. Tymczasem ozwali się sympatycznym dla nich aplauzem nacjonaliści żargonowi z *Hajntem* i *Fraintem* na czele.

Żydzi polscy zachowali głuche, kłopotliwe milczenie.

Napróżno, w ostatnim numerze *Prawdy*, zwracaliśmy na to uwagę, kładąc umyślny, ostry nacisk na niestosowność tego milczenia i tej obojętności, zwłaszcza w zestawieniu z nadmierną wrażliwością na najbłahsze bodaj ukłucia, wyrzuty, czy uwagi ze strony polskiej, piętnowane jako wybryki dzikiego żydożerstwa.

Ku wielkiej uciesze swoich wrogów, dowiedli żydzi polscy przy tej sposobności, że nie są zdolni do żadnej, zdawkowej bodaj, czysto formalnej inicjatywy, albo też — przestali wyczuwać chwile, odpowiednie do takiego działania.

Ta ich obojętna, bądź też bezradna postawa wywarła nader ujemne wrażenie, które po części rozwiewa *Izraelita* wystąpieniem, wymierzonym przeciw rzeczonym dwóm posłom litwackim, którym zarzuca „uzurpację“ prawa przedstawicielstwa żydów polskich, w konkluzji takie czyniąc uwagi:

I zaiste zapytać się należy, jakim prawem szowiniści żydowscy przemawiali w Izbie w imieniu ogółu żydów polskich, nie znając ich i nie rozumiejąc, nie mając pojęcia o stosunku ich do społeczeństwa polskiego, a wiedząc tylko o stosunku narodowej demokracji do żydów? Dlaczego nie przemawiali jedynie i wyłącznie w imieniu grupy nacjonalistów, od której odebrali podziękowanie i zachętę do stosowania nadal tej samej metody w sprawie żydowskiej? Pp. Nisselowicze, w swej rozbrajającej ignorancji, zwykli sądzić o całym społeczeństwie, według żywiołu antysemickiego, dziś dopuszczonego do głosu decydującego jedynie wskutek tego, że inne żywioły zamilkły. Tymczasem wszystko w Polsce co stanowi wytwór umysłowości nowoczesnej nie jest i nie może być antysemickie. O tym jednak my sądzić tu możemy, nigdy zaś nacjonaliści w Rosji. Pisarze, publicyści i działacze społeczni, którzy w bieżącej dobie orgji antysemickich zdołali zaznaczyć swoje stanowisko niezależne i objektywne względem żydów, — to nie są bynajmniej jednostki ani też wyjątki. Są to ideologowie pewnych grup społecznych, wyraziciele prądów kulturalnych, nurtujących bez przerwy w głębi naszych stosunków, są to takie jednostki, przez które przemawiają odłamy cywilizowane i uspołecznione, przemawia ta część społeczeństwa, która stanowi już wytwór środowiska nowożytnego. I jeżeli nie mogli oni, jako *przedstawiciele Królestwa*, zabrać głosu w Izbie podczas debaty w sprawie samorządu, to jeszcze nie dowód, iż ich w kraju niema, i to jeszcze nie powód, dlaczego p. Nisselowicz, uzurpując prawo, miałby ich zasiąpić! Gdzież tu miejsce dla posła Nisselowicza, który wśród żydów jest takim samym gardłaczem szowinistycznym, jak rektor Ahlwardt wśród Niemców, redaktor Drumont wśród Francuzów, dramaturg Ignacy Grabowski wśród Polaków i t. d., którzy do wszystkiego są powołani, tylko nie do obrony praw i wolności narodów!

Jeżeli koniecznie p. Nisselowicz pragnie porzucić rolę wolontarjusza, luzaka i stać się *representative man*, to niechaj nim będzie tylko dla swoich depeszujących przyjaciół i conajwyżej niechaj prowadzi swoją politykę w wielkim stylu *à ses risques et perils!* My zaś stanowczo sobie wypraszamy zupełną niezależność i nietykalność.

Ze swej strony musimy zauważyć, że wspomniane zajście trzeba też położyć na karb tej specyficznej endeckiej polityki, która żadnego przedstawiciela żydów polskich z Królestwa nie dopuściła do grona delegatów dając tym pp. Nisselowiczom wdzięczną rolę ogólno-państwowych orędowników żydostwa.

Z prasy rosyjskiej.

„NIETYKALNI”.

Pod takim, w cudzysłów ujętym, nagłówkiem zamieszcza *Sowremiennyj mir* artykuł, pełen sarkazmu, poświęcony charakterystyce tła konstytucyjnego, na którym stawia chwiejne kroki parlamentaryzm rosyjski. W całej Europie najściślejsze porozumienie wyborców z wybranymi przez nich posłami jest podstawą polityki demokratycznej. W Rosji — jest inaczej. W Rosji biurokracja wytęża wszystkie siły, aby parlament izolować od ludności.

Nietykalność posłów w pojęciu biurokracji ulega swoistej interpretacji.

„Ciekawą jest—pisze miesięcznik rosyjski—rozmowa posła Kuźniecowa z gubernatorem Ekaterynosławia.

Za sprawozdanie, odczytane przez Kuźniecowa w r. 1908, poseł został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Gubernator zawiadomił go o tym i oświadczył, że z tego powodu nie może pozwolić na ponowne zebranie wyborców.

— Dlaczego w takim razie policja nie przerwała mi?" — zapytuje poseł.

— Z braku doświadczenia. Zresztą ministerjum spraw wewnętrznych wogóle nie ufa pańskim sprawozdaniom. Pan może w zbyt różowych barwach opisać działalność Dumy w zakresie prawodawstwa robotniczego, co wywoła później wśród robotników przykre rozczarowanie... —

Poseł odpowiedział, że on właśnie nie mógłby przedstawić w różowych barwach działalności Dumy w tym kierunku,..

Wtedy gubernator wynalazł inną przeszkodę:

— Pańskie sprawozdanie może zakłócić spokój, panujący obecnie w mej gubernji...

Następnie donosi *Riecz*:

Poseł Włodzimierski, K. Czernoświtow, prosił miejscowego gubernatora — p. Sazonowa — o pozwolenie na złożenie swym wyborcom sprawozdania z działalności Dumy.

— Czy pan należy do partji konst.-demokratycznej? — zapytuje gubernator.

„W takim razie uprzedzam pana, że w przeciągu 5-ciu lat, t. j. dopóki pan będziesz piastował urząd posła, pan nie będzie miał w gub. Włodzimierskiej ani jednego sprawozdania. Jestem daleko spokojniejszy, kiedy kadeci nie odczytują sprawozdań. Pan odczyta swe sprawozdanie, a później nastąpią aresztowania uczniów i uczennic. Panu będzie przykro i mnie również przykro".

Korespondent *Sowrem. Słowa* donosi o rozmowie posła Kropotowa (grupa pracy) z naczelnikiem miejscowego więzienia. — „21-go grudnia poseł Kropotow udał się do naczelnika więzienia, chcąc uzyskać pozwolenie na widzenie się z uwięzionym szwagrem.

— Pan jesteś posłem Dumy? — zapytuje naczelnik.

— Tak.

— Do jakiej partji pan należy?

— Do grupy pracy.

— Woźny, otworzyć dzwi!

— Nie, po co? Sam wyjdę.

Podczas ostatnich ferji świątecznych Dumy również się nie obeszło bez wypadków tragicznych i komicznych. Poseł Kamienskij, autor interpelacji w sprawie sprzedaży ziemi Aleksandry Świrskiej, otrzymał od jakiegoś „Związku obrony narodowości i prawosławja" — wyrok śmierci. Mimowoli staje w pamięci tragiczny zgon posłów Hercensztejna, Jołłosa i Karawajewa...

U niektórych posłów zarozumiałość dochodzi do szczytu komizmu.

Saratowski Wiestnik pisze: Do posła E. A. Isiejewa wysłano 4-ch członków komisji (utworzonej na ogólnym zebraniu przedstawicieli handlu i przemysłu), zapraszając go na posiedzenie. Chciano prosić posła o wyjaśnienie działalności Dumy w sprawie uregulowania dnia pracy. Kiedy delegaci przyszli do p. Isiejewa pokojowa oznajmiła:

— Pan nie może was przyjąć...

Delegaci myśląc, że poseł jest chory, pytają, kiedy „pan będzie mógł przyjąć? — Po chwili służąca wraca i mówi:

— Pan gniewa się, niech panowie wychodzą.

Saratowski Wiestnik uszczypliwie zapytuje, czy nie należy p. Isiejew do prawicy umiarkowanej, która postanowiła „robotat na miestach"?

KRONIKA.

KURSY DLA ROLNIKOW PRAKTYKÓW, które ma zamiar od 22 stycznia do 1 lutego włącznie urządzić Sekcja Szkolna C. T. R., obejmą w tym roku następujące przedmioty: anatomję i fizjologję zwierząt, rozdziały z uprawy roli i ogólnej uprawy roślin, z hodowli koni, świń, owiec i ryb, kooperatywę w rolnictwie, rozdziały z prawa cywilnego, najważniejsze sprawy ogrodnicze i t. Wykładać będą pp. inż. St. Biedrzycki, Br. Bouffałł, inż. Z. Chmielewski, L. Dobrzański, Wł. Goriaczkowski Edm, Jankowski, Wilk. Meylert, prof. J. Mikulowski, Pomorski, M. Mizerski, dr. K. Moczarski, A. Nowiński, R. Ostrowski, J. Sturm, St. Wojciechowski i inni.

Program szczegółowy będzie ogłoszony później.

Słuchacze będą mieli sposobność w godzinach wieczornych zapoznać się z rachunkowością rolniczą, którą wykładać będzie p. Ohrt, kierownik biura rachunkowego przy C. T. R.: pozatym: jak zwykle, zwiedzane będą instytucje warszawskie, mogące zainteresować rolników Opłata za kurs całkowity (10-dniowy) wynosi 10 rb., za dzień (6 godzin)—1 rb. 50 kop., za godzinę—50 kop. Członkowie Towarzystwc pracowników rolnych opłacają za cały kurs 6 rb.

SPRAWOZDANIE VII ODDZIAŁU „TOWARZYSTWA KULTURY POLSKIEJ" (Opieka nad dziećmi niedorozwiniętymi).

Niedawno wygłoszony odczyt dr. Józefa Brudzińskiego „Rożne typy dzieci nienormalnych" kończył się gorącą odezwą, wzywającą całe społeczeństwo do pracy nad dziećmi, które szczegolnych potrzebują starań, aby wyrosły na pożytek, a nie na szkodę społeczeństwa. Pracę w tym kierunku zapoczątkował już u nas VII oddzia- Tow. Kult. Polskiej, którego zadaniem nieść pomoc dzieciom niedorozwiniętym t. j. takim, które w zwykłej szkole postępów nie robią, gdy w zakładzie specjalnym mogą znacznie się rozwinąć i przysposobić do pracy zawodowej.

Oto kilka cyfr z działalności oddziału w roku szkolnym 1910—1911.

Oddział liczył 54 członków, których składki roczne wynosiły 188 rb. 50 kop. Ten skromny fundusz starano się powiększyć przez zbieranie ofiar drogą prywatną oraz przez urządzenie podwieczorku w Udziałowej na rzecz oddziału.

Dzięki tym zabiegom dochody oddziału podniosły się do sumy 269 rb. 65 kop. Ten fundusz, mniej niż skromny, obrócono prawie w całości (po odtrącenu kosztów kancelaryjnych) na pomoc materjalną dla niezamożnych uczniów, umieszczonych w „Instytucie wychowawczo-naukowym dla dzieci małozdolnych" pp. Zylberowej i Lublinerowej.

Oddział miał w tym zakładzie 7-iu Stypendystów, co do płci: 3 chłopców i 4 dziewczynki: co do wyznania 5 dzieci chrześćjańskich 1 żydowskie i 1 mahometańskie

Zasiłki im udzielone wyniosły ogółem 261 rubli.

W obecnym roku szkolnym oddział ma również pod swoją opieką 7-ro dzieci (4 chrześć. i 3 żyd.) z których 3-je, wobec całkowitej niezamożności rodziców nie może absolutnie nic płacić, 4-ro zaś uiszcza za siebie część tylko wpisu.

Ponieważ wśród dzieci tych jest jedna dziewczynka z prowincji, która musi być umieszczona w internacie, zobowiązania oddziału stanowią sumę wyższą niż w roku zeszłym.

A przecież te kilkoro dzieci to kropla w morzu, to bardzo drobna odsetka tych nieszczęśliwych, którymby pomoc należało.

Do instytutu dla małozdolnych i do członków zarządu oddziału zgłaszają się niemal codziennie rodzice i opiekunowie z prośbą o przyjęcie dziecka.

Co z dziećmi tymi robić? Ileż z nich się zmarnuje skoro im swej pomocy odmówimy?

Celem powiększenia swych środków oddział postanowił zaraz po Nowym Roku 1912 urządzić szereg odczytów p. t. „Niedole dziecięce” Zabiorą w nich głos lekarze, a poruszą wiele tematów ważnych i interesujących. Ale niezależne od poparcia tych odczytów sprawa domaga się od społeczeństwa czegoś większego a pewniejszego, wzrostu samego oddziału, przez zapisanie się do niego wszystkich ludzi dobrej woli, którym niedola dziecięca leży na sercu.

Dla tych wszystkich dodajemy, że bliższych informacji zasięgnąć można u przewodniczącej oddziału p. Anieli Szycówny, Żórawia 28 m 3.

MIĘDZYNARODOWY KOMITET MONISTÓW.

Na Kongresie Monistów niemieckich w Hamburgu zorganizowano Komitet Międzynarodowy którego przewodniczącym jest Prof. Wilhelm, *Ostwald* (Grossbothen koło Lipska). Sekretarjat prowadzi *Biuro Komitetu* Międzynarodowego w Hamburgu (36 Klon Fontency). Przedstawicielami Komitetu w różnych krajach są:

Niemcy: Prof. W. *Ostwald.*

Ameryka Północna: Dr. Paul *Carns*, Editor of The Open Court i The Monist (Chicago, 378—88 Wabash Avenue). James T. *Morton* p. przedstawiciel Truth Sceker Co (New York, 68 William Street).

Ameryka Poludniowa: Theodo *Aleman*, wydawca „Argentinisches Tageblatt” (Buenos Aires). Prof, O. *Kasdorf* (Montevideo, Uruguay),

Francja: Dr. Iz. *Poloko*, prezes towarzystwa „Morale de la Nature (Paris, 49 Avenue du Trocadero), Prof. A, *Broda*, Inst. Intern,de la diffusion des Expèr. Sociales (Paris, 59 Rue Claude Bernard).

Włochy, Prof. Antonio *Zucca* (Villa Urbana, prov. di Cagliari Sardegna).

Hiszpanija, Prof. *Simarro* (Madryt)

Rumunja: Prof, *Thiron* przedstawiciel Towarzystwa rumuńskich monistów im. Haeckla (Jassy).

Finlandja: Doc. Dr. H. *Federley* (Helsingfors, Boulevardsgaten 19).

Polska: Dr. Aug. *Wróblewski* (Kraków ul. Studencka 2)

Szwecja: Prof. Svante Arrlenius (Stokholm).

Biuro polskie udziela informacji w sprawie monizmu, wolnomyślicielstwa, oddzielenia kościoła od państwa i szkoły i dąży do wytworzenia łączności pomiędzy zwolennikami przyrodniczego poglądu na świat w Polsce.

Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich nadesłał nam z prośbą o zamieszczenie następujące wyjaśnienie:

Sprawozdawcy z przebiegu obrad Dumy nad projektem samorządu w Królestwie Polskim w pierwszych komunikatach zupełnie pominęli przemowę posła Babiańskiego o prawach kobiet, a w następnych korespondencjach nadmienili tylko w kilku słowach, „iż bronił poprawki o nadaniu szerszych praw wyborczych kobietom”, przyczym niektóre pisma zaznaczyły: „iż bronił aktywnych praw kobiet”.

Tymczasem od naocznego świadka obrad Dumy, a przewodniczącej Oddziału Związku równouprawnienia kobiet polskich w Petersburgu p. Romualdy Baudouin de Courtenay otrzymujemy wiadomość, iż poseł Babiański, mówiąc ostatni z mówców, nietylko zwracał uwagę, jak i jego przedmówcy, na zbyt szczupły zakres praw przyznawanych kobietom, na ograniczoną kategorję kobiet, którym te uszczuplone prawa przysługiwać mają, ale szczegółowiej rozważał niekonsekwencję projektu, który wyborczynie pozbawił wybieralności.

Jeżeli uznano za pożyteczne — mówił poseł Babiański—nadać prawa czynne kobietom, to znaczy, iż nie widziano niebezpieczeństwa w udziale stosunkowo znacznej liczby kobiet w samorządzie tymbardziej więc dziwić się należy pozbawieniu ich prawa biernego. Prawo bierne bowiem jest daleko więcej indywidualne i jakościowo zagwarantowane.

— „Gdyby którakolwiek kobieta prawo bierne uzyskała faktycznie — mówił dalej poseł Babiański — to zostałaby wybraną ta tylko, któraby w mniemaniu wyborców uznana była za pożądaną i pożyteczną — a więc nie niebezpieczną dla interesów miasta”.

Warunki chwili nadały przemowie posła Babiańskiego zasadniczą wagę jedynego w Dumie odzywu Polaka w obronie równouprawnienia kobiety polskiej — odzywa będącego wyrazem opinji większej części polskiego oświeconego społeczeństwa.

Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich.

Książki nadesłane do Redakcji:

Jerzy Machon: „A e l j a C a p i t o l i n a”. Kronika poetycka w 5 ciu obrazach. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1912.

Marcelina Kulikowska: „F r a n i a”. Spółka nakładowa „Książka”. Kraków.

Wilhelm Boelsche: „M i ł o ś ć w p r z y r o d z i e” Serja druga. Przekład d ra Zygmunta Szymanowskiego. Warszawa, 1912. G. Centnerszwer i Spółka.

Artur Śliwiński: „P o w s t a n i e l i s t o p a d o w e”. Spółka nakładowa „Książka”. Skład główny: G. Centnerszwer i Spółka.

Wacław Sieroszewski: „B a j k a o Ż e l a z n y m, W i l k u”. Z 14 rycinami i winietą okładkową Jana Rembowskiego. Spółka nakładowa „Książka”. Skład główny w Warszawie: G. Centnerszwer i S-ka.

Alfred Binet: „D u s z a i c i a ł o”, przełożyła W. Bruner. Polskie Tow. Nakładowe, 1912, str. 244. Lwów.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. „R o m a n s p a n n y O p o l s k i e j z p a n e m G ł ó w n i a k i e m”. Anegdota Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-ka, str. 303. Cena rb. 1 kop. 80.

Wacław Gąsiorowski: „B e m”, powieść historyczna z XIX w. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1912, 8-ka, str. 505. Cena rb. 2 kop. 20.

Teresa Jadwiga: „P o j e d n a n i”, powieść z czasów Napoleona I. Biblioteczka dla młodzieży t. XV. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Wydanie II.

Dr. Med. R. Radziwiłłowicz: „Z a g a d n i e n i a p s y c h o l o g j i”. Spółka nakładowa „Książka”. Kraków, 1912. Str. 104.

Świat zwierząt: Zeszyt IX 1 kol. rycina i 36 ilustracji. Treść przeżywająca pustorogie Żyrafy Jelenie.

Świat zwierząt: zesz X. 1 kol. rycina i 39 ilustracji. Treść: Jelenie, Wielbłądy i Swinie. Gebethner i Wolff w Warszawie.

Jerzy Kurnatowski: k o o p e r a t y w a s p o ż y w c z a Gebethuer i Wolff w Warszawie.

OFIARY.

Na szkołę rolniczą w Bratnem: p. M. S. z Gołotczyzny rb. 30.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierac w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.